**Nr. 4.** Lwów, 15. Listopada 1885. **Rok I.**

# STRAŻNICA POLSKA

PISMO

POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNE

wychodzi

**dwa razy na miesiąc, każdego 1. i 15.**

Pojedyńczych Nrów nie sprzedaje się.

**PRENUMERATA**
na „Strażnicę polską“ wynosi:
*Kwartalnie:*

| | | | |
|---|---|---|---|
| **We Lwowie:** bez przesyłki | 1 | zł. | 50 ct. |
| „ z przesyłką | 1 | „ | 60 „ |
| **Na prowincyi:** . . . . | 1 | „ | 70 „ |
| **Za granicą:** . . . . | 2 | „ | — „ |

**REDAKCYA** w Rynku L. 8.
**ADMINISTRACYA** Rynek L. 9.
Inseraty od wiersza (petit) 5 ct.
**Wszelkie należytości** przysyłać należy pod adresem:
**Do Administracyi „Strażnicy polskiej“** na ręce p. **Szczęsnego Bednarskiego,** Lwów, Rynek L. 9

L. 18018.

**C. wyższy Sąd krajowy** we Lwowie po wysłuchaniu c. k. Nadprokuratora państwa na zasadzie §. 449 p. k. w zastosowaniu §. 489 i 493 p. k. tudzież §. 36 i 37 ustawy pras. orzekł. iż treść artykułu umieszczonego w nakładzie 2. numerze 1. czasopisma „Strażnica polska“ z dnia 1. października 1885 pod napisem „Kronika, po żadnej wojnie“ zawiera w sobie znamiona zbrodni naruszenia spokojności publicznej z §. 66 u. k. i rozp. z dnia 19. października 1860 l. 233 dz. u. p., że przeto zarządzona przez c. k. prokuratoryę państwa z dnia 2. października 1885 i na tym samym dniu wykonana konfiskata jest usprawiedliwioną, cały nakład tego artykułu ma być zniszczony i dalsze rozpowszechnienie wzbronione, albowiem inkryminowany artykuł przedstawiający stosunki wewnętrzne w Rossyi w nader ponurem świetle, zdolny jest treścią swą podburzającą u tutejszych mieszkańców wzniecić nienawiść przeciw rządowi swemu, roznamiętnić umysły ich i nawet zachęcić do działalności zmierzającej ku gwałtownemu zerwaniu istniejących węzłów państwowych, a więc do czynności w §. 58 l. c. u. k. przewidzianych, które w danym razie jako odnoszące się do Rossyi z uwagi na powyż powołane rozporządzenie min. pod sankcyę §. 66. u. k. podpadają.

O tem orzeczeniu z dnia 20 października 1885 l. 25498 zawiadamia się p. redaktora.

Lwów 5. listopada 1885.

L 18090 *Mogilnicki.*

**C. k. wyższy Sąd krajowy** we Lwowie po wysłuchaniu nadprokuratora państwa na zasadzie §. 494 p. k. w zastosowaniu §. 489 i 483 p k., §. 36. i 37. ust. pras. orzekł: że treść artykułu pod napisem „Słowo o pruskich wydaleniach“ umieszczonego w numerze 1. czasopisma „Strażnica polska“ z dnia 1. października 1885 zawiera w sobie znamiona zbrodni naruszenia spokojności publicznej z §. 66. u. k., że przeto zarządzona przez c. k. prokuratoryę państwa na dniu 30. września 1885 i na tym samym dniu wykonana konfiskata jest usprawiedliwiona, cały nakład tego artykułu ma być zniszczony i dalsze rozpowszechnienie wzbronione, albowiem inkryminowany artykuł zdolny jest wzburzyć umysły obywateli państwa niemieckiego i rossyjskiego i zachęcić do czynności §. 58. u. k. określonych, a jako odnoszące się do powyższych państw w obec rozp. minist. z dnia 19. października 1860 l. 233. dz. u. p. tudzież patentu z dnia 24. października 1837 l. 236 zl. n. s. i artykuł XIII. traktatu pokoju z dnia 2. września 1866 l. 103 Dz. u. p. istotę czynu zbrodni z §. 66. u. k. stanowiących.

O tem orzeczeniu z dnia 27. października 1885. l 25279 zawiadamia się p. redaktora.

Lwów 5. listopada 1885.

*Mogilnicki.*

## Sytuacya obecna.

Wiedeń 5. listopada 1885.

Sprawa wschodnia, ta kość niezgody pomiędzy państwami europejskiemi, zapowiada coraz większą burzę na horyzoncie politycznym. Wszelkie konferencye dyplomatyczne, zjazdy cesarskie i t. p. środki, zażegnające od przypadku do przypadku rozbukane fale na morzu międzynarodowych interesów, okazują się już dzisiaj niewystarczającemi.

Stanowcze wystąpienie Bułgaryi wywołało dysharmonię w koncercie ościennych państw, a małe państewka na wschodzie wydały hasło: „Teraz albo nigdy.“ Wśród tylu rozmaitych krzyżujących się interesów, niemożliwym jest proces krystalizacyjny sprawy, niemożliwem jest wynalezienie modus vivendi, któryby mógł zapewnić na czas dłuższy spokój europejski. Państwa spoglądają wzajemnie na siebie z niedowierzaniem, a pomimo ciągłych zapewnień o pokoju, myślą tylko o zbrojeniu swoich armij.

Nic też dziwnego, że taki niepewny stan rzeczy wpływa na osłabienie węzłów międzynarodowych, sprowadza za sobą katastrofy ekonomiczne, a zatem upadek społeczeństw, żyjących bez jutra.

Rosya degraduje księcia bułgarskiego i odbiera mu stopień generała, gdyż jasno postawione żądanie narodu bułgarskiego, którego wiernym tłumaczem pragnie być panujący książę, nie licuje z polityką Giersa. Rossya dąży do tego, aby sprawę jak najwięcej zabagnić, gdyż tylko w ciemności szuka zwycięstwa. Widocznie Bułgarzy już mają dosyć tej opieki moskiewskiej, która wrzekomo w obronie interesów Słowian, ma tylko na celu zapewnienie Rossyi panowania nad Czarnem morzem...

Nie potrzeba na to być wielkim politykiem, aby przewidzieć, iż w interesie Rossyi leży, by sprawą wschodnia jak najdłużej w alembikach dyplomatycznych się destylowała. Dlatego też brak decyzyi w zagranicznej polityce austryackiej, srogo się pomścić może przy przyszłej konfiguracyi rozebranej Turcyi. Wobec wojowniczego usposobienia Serbii, Austrya się obojętnie przypatrywać nie może, bo pozostawienie Serbii własnemu losowi, spotęgować może tylko wpływy moskiewskie. Czem więcej małych państewek utworzy się na wschodzie, tem większa wygrana Moskwy. W interesie zaś Austryi leży, by małe państewka złączyć w silny organizm, któryby stawiał opór hegemonii cara północy. Odezwanie się patryotów albańskich do Austryi, nie jest bez głębszego znaczenia politycznego. Chodzi teraz o to, aby życzenie licznego zastępu Albańczyków, względem udzielenia protektoratu przez Austryę, rozumnie i zręcznie w chwili obecnej wyzyskanem było. Kto przeczytał uważnie odezwę Albańczyków, ten nabrać musiał przekonania, że tylko zadowolenie szczepów słowiańskich w Austryi i ich równouprawnienie z narodem niemieckim, zapewnić może państwu przyszłość!

Częste niepowodzenia w polityce austryackiej przypisać trzeba w głównej części brakowi stanowczości mężów stanu i tej okoliczności, że polityka stosuje się do indywidualnych zapatrywań kierowników polityki zagranicznej, zamiast stosować się do panującej chwili. Nadeszła bowiem dla Austryi chwila do stanowczego działania, chwila, która w historyi państw drugi raz się nie powtarza.

Czyny wymagają ofiar, dlatego państwo austryackie winno być przygotowane na nie, bo podstęp i chytrość zaprzyjaźnionych mocarstw Europy, może je wyprzedzić, a wtedy będzie zapóźno.

---

Ze spraw polityki wewnętrznej państwa, zaznaczyć musimy, iż w czasie obrad delegacyj wspólnych, kraj nasz poniósł nową klęskę. Minister wojny bowiem, w swojej mowie wywodził, iż dostawy dla armii nie mogą być zdecentralizowane, (z wyjątkiem kilku nieznacznych artykułów), gdyż znaczyłoby to narażać na szwank bitność armii i wprowadzać system, który już dawniej jako niedołężny, zarzucono. Obrona sprawy decentralizacyi liwerunków wojskowych, była w delegacyi przez naszych posłów co najmniej po dyletancku prowadzoną. Że dawny system liwerunków wojskowych zastąpiony w zarządzie wojskowym przez specyalne komisye, nie dopisał, nie dziwnego, bo kto sobi przypomni liczne w tej sprawie procesa kryminalne, ten nie będzie potępiać systemu, lecz..... Jeżeli się często używane frazesa „bitność armii“ „potęga państwa“ i t. p. uważa za wyczerpujący argument, to rzeczywiście nie można się dziwić, że posłowie polscy w delegacyi oniemieli. Myśmy się jednak spodziewali, że posłowie nasi z całą siłą argumentacyi, zniweczą dowolne twierdzenie, nawet pozornymi argumentami nie poparte. Nie potrzeba być strategikiem, aby przeprowadzić dowód prawdy, że łatwość dostarczenia liwerunków na krótkie odległości, podnosi sprężystość intendantury. Pomijamy nieszczęśliwą obronę kraju przez naszych posłów co do braku koszar, znajomości języka niemieckiego u podoficerów i t. p., a konstatujemy tylko, że glodni rze-

## Zapiski kronikarskie.

Przedmowa p. Ludwika, prowizorycznego zapiskarza kronikarskiego, do P. T. czytelników „Strażnicy polskiej“. — Żywot wielkiego grzesznika. — Plotki z Krakowa i ze Lwowa. — Feralny Nr. 4

Wielce szanowni i w ogóle P. T. (pleno titulo) Czytelnicy *Strażnicy polskiej!*

Przysłowie mówi: „niemiała baba kłopotu, kupiła sobie prosię“. Ot tak też i zemną, nawiedziła pokusa próżność moją i samochcąc, gotów jestem nawarzyć sobie piwa. A rzecz się tak ma. Co prawda, nie od dzisiaj to, ani od wczoraj moja drużba z redaktorem *Strażnicy polskiej*, ale z tych czasów, co mu się to ani nie śniło jeszcze być „Schreibpolakiem“ we Lwowie, w Galicyi. Ja mu wprawdzie zaraz mówiłem, gdy zaczynał to pisanie, „Jasiu, Jasieńku, Jasieczku! daj spokój, bój się Boga, co robisz! Zobaczysz że się jeszcze dopiszesz biedy. Tyś tu przecież nie swojak, ale zawsze uważany za przybłędę, a gdy zaczniesz psuć Geschäfta innym pismakom, a różnym poświęcającym się patryotnikom krew, to cóż z tego będzie? Ot zjedzą cię i kwita.

Ale cóż to pomogło, chociaż ja starszy od niego, nic niepomogły perswazye. „Cierp ciało, kiedy ci się chciało“ pomyślałem. Ale niedługo też czekałem, aby się moje przepowiednie nie tylko sprawdziły, lecz przewyższyły wszystkie obawy o starego druha Jasia. A tej drużby z górą 40 lat, bo zaczęwszy od ławki szkolnej w Gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, los nas zawsze z sobą spowadzał, i tak: w kozie policyjnej w Poznaniu kto siedzi? Jaś — a ja z nim. W fortecy poznańskiej, kto brzęka różańcem żelaznym? Jaś — a ja też. Do Sonnenbergu kogo wiozą? Jasia — a mnie z nim. Do Mohabitu pod Berlinem, kto jedzie na poświęcenie tego pensylwańskiego hotelu? Jaś i ja. Kto ma być poprzednikiem Kraszewskiego w Magdeburgu? tylko w obec innych okoliczności przy taczkach, znowu Jaś i ja. Niemcy robią rewolucyę, wyprowadzają Polaków z Mohabitu; prowadzą przed zamek, wołając: „Fritz die Mütze runter!“ Patrzę kto obok stoi? Jaś, a ja obok niego. Pod Miłosławiem bijemy Niemców co się zmieści, a my strzelcy palimy jak Bóg przykazał. Brakło mi nabojów, wołam kto ma? Kto się dzieli temi karmelkami? Jaś, bo on także strzelec. Pod Sokołowem było ciepło, bardzo gorąco. — Prusacy parli i grzali, ale my też. Prusacy w nogi, a my za nimi, dopiero pod Gulczewem brakło nam tchu, ale też i Prusacy nie żałowali ostróg konionom, aby zemknąć. Suszymy się z potu i znoju przy łunie pożarnej, którą krzyżactwo zażegło. Starsi każą liczyć kompanie i plutony. Liczę, ej urwali mi strzelców niebożąt. Patrzę, liczy i Jaś swój pluton, który dostał po bitwie miłosławskiej.

— A ile ci tam Jasiu brakuje?

— Oj źle kolego, bo z 45. zuchów zostało tylko szesnastu.

— A reszta gdzie?

— Ot spoczęła przy stronie brzezinki i już nie wstanie.

Bój ustał, przywożą mnie do kazamat poznańskich, kto leży na ruszającym się barłogu? Jaś, a więc i ja się obok niego kładę.

Długo potem Jasia nie widziałem, ale znowu spotykam go w Koronie. A tam zieją ogniem kominy, walą młoty, zgrzytają pilniki, świszczą heble, setki rąk zatrudnionych pocziwą pracą, a wszystko swojacy, ani na lekarstwo obcego przybłędy. A to czyje Jasiu? A moje. A to szczęść ci Boże! Bóg zapłać. A to i ja się tu przytulę. — Witaj druhu.

I tak kuliśmy i pracowali znowu jak Bóg przykazał. Aż tu pewnego dnia, kuliśmy z całych sił, od samego świtu, ale nie pługi i młocarnie, ale takie kosy na sztorc, pili i osadzali na drzewce.

mieślnicy i przemysłowcy kraju naszego, nie znaleźli obywatelskiej opieki. Mogą się zato polscy rękodzielnicy i przemysłowcy pocieszać nadzieją, że podatki krwi i mienia przez nich składane, wyjdą krajowi na chwałę i pożytek!

Z bieżących wiadomości mamy do zaznaczenia, iż kraj został wzbogacony nową ekscelencyą, co zdaje się być także zapowiedzią lepszej przyszłości Gdy się nadto zważy, że wchodzi do Sejmu znakomitość finansowa, p. poseł Kozłowski, a łatwo dośpiewać sobie politykę odznaczonych ekscelencyj i familiantów. Ułożyli oni już plan akcyi w czasie obrad sejmowych nad budżetem krajowym, by atakować marszałka co do podjętej przez niego akcyi ku podniesieniu krajowego przemysłu. Żywimy jednak nadzieję, że p. Marszałek da sobie radę z wyznawcami zasady

**„Schwamm darüber.“**

Za dni kilka ma być otwarty Sejm, a dawne nadzieje przywiązywane do jego ważności i działalności ustąpiły miejsca apatyi. Że Sejm wypadł z roli ciała ustawodawczego, przypisać trzeba jego nieszczęśliwemu składowi, który pomimo co sześć lat odnawianych wyborów, pozostaje niezmienny. Zmieniają się przez wybory niektóre osobistości, lecz duch pozostaje ten sam, gdyż tam, gdzie panuje serwilizm i gdzie decyduje interes osobisty lub kastowy, o wzniesieniu się na stanowisko obywatelskie, mowy być nie może. Przed każdym patryotycznym umysłem staje pytanie: „Jak długo to będzie trwało, że z praw przez konstytucyę nam przyznanych, nie będziemy rozumnie korzystali“? Odpowiedź na to bolesne pytanie łatwa. Dopóki w Sejmie zamiast ducha polskiego będzie panował duch galicyjski, nie możemy się niczego spodziewać po jego działalności. Jeżeli w sferach stańczykowskich i podolskich, odzywają się ciągle głosy, domagające się reformy administracyjnej w tym kierunku, by działalność Rad powiatowych ścieśnić a względnie znieść, zapytujemy, gdzie są ci Polacy, broniący swego narodowego interesu? Ta szczypta autonomii, która stanowi jedyną naszą zdobycz narodową, sprzykrzyła się naszym przewódcom politycznym, a troskę o nią pragną komu innemu przekazać. Oto rezultat trzeźwej polityki, przez większość sejmową wyznawanej!!! Kraj pogrążony w ubóstwie, oczekuje pomocy, podczas gdy ostatnie uzupełniające wybory do Sejmu przypominają, że jesteśmy niepoprawni. Wszystkie sfery naszego społeczeństwa, wołają ratunku, a tu nie widać w kołach naszych mężów politycznych, by nowa kadencya sejmowa sprowadzić mogła nowego ducha do Sejmu, ducha, którybyby sparaliżowany organizm prawodawczy napowrót do życia pobudził. Daj Boże, by nasze zapatrywania w tej mierze okazały się mylnemi! Wkrótce obaczymy!

---

# Caveant Consules!

czyli:

## „Jaki zasiew, taki plon.“

Gdy od lat kilku, kronika Galicyi zapełnia się coraz smutniejszymi faktami żywota moralnego i ekonomicznego, gdy każdy myślący obywatel patrzy przed się ze słuszną obawą o jutro, gdy obawa katastrofy ogólnego upadku, biedy i nędzy, nie jest wybrykiem fantazyi, staje znowu przed oczy widmo, które grozę swą zapisało na wieki w dziejach tego biednego kraju.

Widmo to pojawiło się po czterdziestu latach, w takich samych warunkach upadku moralnego, jak w chwili, gdy go piekło zrodziło.

Chcąc o tej nieszczęsnej sprawie mówić, podajemy przedewszystkiem wieść, którą najprzód *Nowa Reforma* podała, a następnie wszystkie dzienniki powtórzyły:

„Powstanie w — Galicyi! W czterech wsiach powiatu pilzneńskiego, między niemi w Woli Lubeckiej i Żwierkówce, rozeszła się pogłoska, iż wybuchło powstanie, że nad granicą rosyjską stoi 10.000 powstańców, a z tej strony Polacy kręcą się po lasach. Chłopi wzięli się do kos i cepów, pozaciągali we wsiach warty i wysłali wiadomość do wójta we wsi Jomicy w tarnowskim powiecie, by uczynił to samo. Wójt ten odpowiedział im jak Cambronne pod Watterloo, lecz władzy nie doniósł o tem. Dalej dowiedzieli się chłopi z pomienionych wsi powiatu pilzn., że w lasach kręcą się jacyś uzbrojeni panowie. Byli to myśliwi: ks. Sanguszko, hr. Kielsmanegg, pułkownik ułanów z Tarnowa i inni. Chłopi urządzają obławę, lecz szczęściem myśliwi wrócili dawno do domu. Las ten leży w tak zwanej „Swińskiej górze“. Jakąś babę warty chłopskie rewidowały, bo im ktoś powiedział, że to powstaniec przebrany. Wszystko to działo się w ostatnich dniach przeszłego tygodnia, a władza o tem nic nie wiedziała. Mówią, że istniał także zamiar urządzenia także wyprawy na dwory i termin był naznaczony na niedzielę ubiegłą; sądzimy jednak, że to już trzeba kłaść na karb fantazyi, tem bardziej podnieconej, że owe wsie na granicy powiatów Pilzno i Tarnów pierwsze powstały w r. 1846. O niepokojach tych zawiadomił starostwo w Tarnowie woźny Rady powiatowej tarnowskiej, niejaki Lachowicz, a starosta tarnowski wysłał podobno w sobotę sztafetę do Pilzna z zawiadomieniem, a do wsi owych pchnął całą swą żandarmeryę. Przywódcy są już aresztowani. Czy tam i kto podburzał, nie wiadomo jeszcze, lecz podają najrozmaitsze powody, o ile prawdziwe, wiedzieć nie możemy. Jedni mówią, że księża wzywali do składek na wychodźców, którzy mają przybyć do naszego kraju. Chłopi z wychodźców zrobili powstańców i hejże na Soplicę! Druga pogłoska mówi tak: we wsiach tych urządzali księża misyę, jeden z nich miał powiedzieć: my się tu modlimy, a tam panowie po lasach w czasie nabożeństwa strzelają. (Odnosiło się to do polowania księcia Sanguszki). To miało oburzyć chłopów, którzy i tak są jeszcze rozdrażnieni z czasów słynnej a w środkach nieprzebierającej agitacyi wyborczej do Rady państwa. Wszyscy są zdania, że gdyby rząd nie był się wziął energicznie do rzeczy, niepokoje mogły były przybrać bardzo przykre rozmiary.“

Zaiste, coś więcej monstrualnego, niemogło ukoronować naszego żywota galicyjskiego. Ani zarazy morowe, ani straszne powodzie i pożary, które kraj ten nieustannie nawiedzają, niedadzą się porównać z tym ostatnim objawem dopustu Bożego. Lecz mówiąc szczerze, to nietylko dla nas, ale i dla wielu innych śmiertelników nie jest tak wielką niespodzianką, gdyż to co się obecnie praktykuje, przewidzieliśmy dawno i niezaniedbywali wskazywać na niebezpieczeństwo, jakie prędzej czy później zrodzić się musi.

Roczniki *Strażnicy pol.* z ubiegłych lat siedmiu, są żywym tego dowodem, do czego doprowadzić można kraj, jeżeli ci, którzy się za przodowników jego w społeczeństwie uważają, nie wnijdą w siebie, niepohamują się i nie wejdą na drogę, chociaż tylko miłości bliźniego.

Tak się jednak nie stało, bo wszechwładne kliki, zszeregowane z sobą z solidarnością godną lepszej sprawy, były i są niepoprawne; nic się nienauczyły i nie chcą nauczyć, puszczając w niepamięć główne przyczyny, które stworzyły bratobójczą katastrofę 46 roku.

A co jeszcze dziwniejsze, oto to, że dziennikarstwo lwowskie, widmo to straszne, które się pojawia znowu przy końcu 1885 r., obmawia tak lekko i krótko, jakby to był wypadeczek zwykły kronikarski, nad którym niewarto się długo rozwodzić.

Zdaniem naszem zaś, sprawa ta jest tak ważną, iż się nieda i niepowinna zakończyć jednym lub dwoma artykulikami, bo przyczyny jej powinny być rozbierane z największą pilnością, by wszystko złe wyszło na wierzch, które się przyczyniło do wyprowadzenia tego widma z grobu.

Gdyby patryotyzm szlachty galicyjskiej, czyli właścicieli większych posiadłości ziemskich, był oparty na silnych podwalinach, to po dziś dzień, po latach czterdziestu, to widmo straszne, niebyłoby wychyliło krwawej głowy, aż dopiero może na Sądzie ostatecznym.

Niechcemy tem orzeczeniem rzucić kamieniem potępienia na ogół szlachty i właścicieli dóbr ziemskich, bo toby było niesprawiedliwością. Galicya nie upadła jeszcze tak nisko, aby szlachtę i właścicieli większych posiadłości ziemskich wolno było i można w czambuł potępiać, chociaż by tylko przez wzgląd na stare przysłowie, że z jednego drzewa bywa często „krzyż i łopata“. Iluż to sami znamy, szlachty i właścicieli dóbr ziemskich, którzy wierni starym tradycyom narodowym, spełniają swą misyę ziemską tak, jak Bóg przykazał. Ale niestety należy przyznać, że tacy, chociaż może nie są mniejszością, to pomijając wyjątki, niemają tej cywilnej odwagi, aby się oprzeć rozwielmożnionym klikom samozwańców, którzy gwałtem, przemocą, podstępem, bezczelnością, narzucają się krajowi, aby go prowadzić na paskach dla osobistych celów, niemających nic wspólnego z dobrem ogółu, a mianowicie z lepszą naszą przyszłością.

Gdyby uczciwsza część obywateli kraju, która niezawodnie stanowi większość, umiała się zdobyć na tę prawdziwie szlachecką i szlachetną odwagę i w zwartym szeregu stawiła opór tym, którzy tyle nieszczęścia na kraj sprowadzają, gdyby się zdobyła na zerwanie wrzekomo „szlacheckiej solidarności“, z rozkiełzanymi handlarzami honoru i imienia, to Galicya dziś tak biedna, inaczejby wyglądała, nawet wobec tych warunków praw i ustaw, jakie posiada. Kliki znane powszechnie, wydostawszy się na wierzch, usiłują utrzymać swą równowagę, objawami aż do niesmaku posuniętego serwilizmu, szczególnie w sejmach, dalegacyach i t. d. Nic im to jednak nieprzeszkadza, aby, gdy przewodnictwo ich krajowi, rodzi nietylko nieciekawe, ale szkodliwe następstwa, a współobywatele przyciskają ich do muru, aby czyny swe usprawiedliwili, mają tylko dwie odpowiedzi; pierwszą: „Rząd sprzyja krajowi“, drugą: „to nie my, ale rząd temu winien“.

Niechcemy tu rozbierać, czy rząd sprzyja krajowi lub nie; to jest sprawa nader względna, a więc lepiej ją na teraz pozostawić na uboczu.

Natomiast, wartoby się zastanowić, czy podszepty, gadane zwykle na ucho, a czasami tylko

---

A ksiądz Mańka Benwenuty, bernardyn, aż płakał, patrząc na tę robotę, żegnając ją krzyżem świętym.

Wieczorem, stanęło wiary z górą dwieście, a każdemu Jaś dał coś w rękę. To kosę na sztorc, to lancę, to pukawkę.

Przed dwór modrzewiowy, wyszedł stary bardzo wiarus, okryty staremi bliznami, a w ręku miał obraz Matki Boski częstochowskiej. To był rodzic Jasia, stary legionista jeszcze. Bił się potem w 31, a w 46 stał pod murami fortecy poznańskiej 3. marca, czekając napróżno na hasło do jej wzięcia.

Rodzic błogosławił Jasia jedynaka na bój.

Padliśmy na kolana wszyscy, bo i nas błogosławił. — Jaś pożegnał ukochaną żonę, pobłogosławił troje drobnej dziatwy. Spojrzał po raz ostatni na dwór modrzewiowy, w którym się zrodziło kilka pokoleń, a i on także pod tym dachem przyszedł na świat. Potem, jako człowiek, otarłszy łzę cisnącą się do oka, zawołał:

— Za broń! — Na koń! — i pociągnęła wiara z pieśnią bożą na ustach. A starzec długo jeszcze żegnał krzyżem świętym bojowników, wznosząc ponad głowę Królowę Polski.

Zaledwie minęło pół roku, z ukochanego Ponika Jasia, pozostały tylko gruzy i zgorzelisko. Mściwa ręka moskiewska niepozostawiła kamienia na kamieniu. Jak to mówią: „nec locum ubi Troja“.

Wściekłość ich miała jednak podstawę, bo straszne dostali cięgi w Poniku i pod Janowem.

Coś tak przy końcu 1863 r. przybywam do Krakowa, chwytają mię i dają gratis kwaterę — w kryminale. Wprowadzają do celi, pod Nr. 56, jakiego tam spotykam kumpana? Oto znowu kochanego Jasia! — To ty tu? — A gdzież mam być, czy nie widzisz na drzwiach, 56; taż to zawsze mój numer gościnny po kozach.

I znowu pół roku przypatrywaliśmy się codzień katedrze na Wawelu, marząc o jej przeszłości i — przyszłości.

Smutno nam było i ciężko, ale balsamem na nasze dusze, był trzeci kumpan, dziś już ś. p., Tadeusz Żuliński. To nie był człowiek, ale — anioł w ludzkiem ciele. A miłował Boga i Polskę, całą potęgą duszy i serca. Cześć ci i pamięć wiekuista druhu Tadeuszu.

Z Jasiem było krucho, bardzo krucho, bo już, już miał się przejechać do Michałowic, a w Olkuszu już dla niego paradę przygotowano. Ale cóż! Jaś choś ma gruby kark, ale dziwnie łechczywy. To też jak się zaczął kręcić, tędy i owędy, wykręcił się do Salzburga, a ztamtąd oparł się aż na szwajcarskiej ziemi. Spotkałem go znowu w Paryżu, jak nieboże ciągnął wyładowny wózek, nieprzymierzając szkapa. Pracował ciężej, jak ostatni robotnik u niego w Poniku nie pracował. Potem było mu lepiej, ale cóż, człek uparty, tęsknił za starym ojcem, za żoną i dziatwą tak długo, aż się znalazł w Galicyi. Spotkawszy go tu znowu, myślałem, że się już ustatkuje. Ale gdzie tam. Choć szósty krzyżyk na plecach, stara krew gra — aż się dograła; 24 procesów za swoje pisanie, a w końcu koza za obrazę honoru p. Aleksandra Hryniewieckiego — trzy tygodnie, czyli dwadzieścia jeden dni, przy ulicy Jagiellonidów w Sądzie delegowanym.

Tak prawdę powiedziawszy, to mój Jaś zawsze lepiej wyszedł od p. Aleksandra Hryniewieckiego, który pomimo wygranych procesów we Lwowie i Złoczowie, musiał z urzędu swego, wziąść nieograniczony urlop raz na zawsze. No, ale Jaś poszedł do kozy, a więc honor jego uratowany i ma zupełną satysfakcyę.

Darujcie pp. P. T. Czytelnicy, że wam zamiast podać „zapiski kronikarskie“ za Jasia, tyle o nim nagadałem. Ale — on mi chociaż stary druh, nieraz nadokuczał, a więc postanowiłem, aby raz oddać mu za swoje. Oho! Ludwiczek choć stary

głośniej, przez panów patentowanych serwilistów, gdy idzie mianowicie o ich własną skórę: „to nie my, to rząd temu winien“, mają zu pełną podstawę prawdy, lub nie?

Otóż my mamy tę odwagę cywilną głośno odpowiedzieć, że podszepty takie nie zasługują na wiarę i usprawiedliwienie. Prawda, że konik taki jest bardzo wygodny i nader często używany; ale czy zawsze uczciwie i sprawiedliwie użyty? Przejźmy chociaż pokrótce dzieje Galicyi od roku 1846, a raczej żywot obywatelski, — i niech nam raczą reprezentanci klik na każde pytanie odpowiedzieć; i tak:

Gdy po strasznej katastrofie bratobójstwa nastąpiło zniesienie pańszczyzny, a właściciele dóbr ziemskich otrzymali indemnizacye, ile też z tych milionów poszło na wzmocnienie spuścizny po ojcach na ogólne cele patryotyczne kraju, a ile zostało w najlekkomyślniejszy, najohydniejszy sposób roztrwonionych?

O ile też obywatele ziemscy, szlachta, dokładali starań i jaka była ich ofiarność, aby w imię miłości Chrystusowej, w imię Matki Polski, podnosić lud nieszczęsny z głębin ciemnoty ku jasnym promieniom oświaty, zbliżać się ale uczciwie do tego ludu, nie pojedynczo, nie jednostkami, ale w zwartym szeregu, aby zapełnić, wyrównać otchłań, dzielącą szlachcica od chłopa?

Jak się też szlachta nasza, spadkobiercy ziemi ojców, która tyle ich pokoleń wykarmiła, przyłożyła własnemi rękami, w własnym pocie czoła, do pracy, gospodarki tej ziemi, w ten sposób, aby gospodarka ta i praca, przodowała rzeszy chłopskiej, była jej na każdym kroku dobrym przykładem, uwidoczniając, że tylko w spólnej moralnej pracy jest siła, przyszłość i błogosławieństwo Boże?

Któż to, zamiast pilnować zagonu ojcowskiego, porzucił go, oddając w arendę najnieuczciwszym, najniemoralniejszym wyzyskiwaczom, z nieograniczonem prawem, aby za pomocą karczem, ciemnoty, wyciskać ostatnie krople żywotne?

Któżto, wycisnąwszy w ten sposób gotowy grosz, podążał szukać szczęścia i bogactw wraz z najwstrętniejszem społeczeństwem na giełdach, i ile tam pozostało fortun zaprzepaszczonych?

Ileż to w ten sposób zostało zbrukanych nazwisk starych rodów, a cześć ich wiekowa, została zdeptana w błocie?

Czy temu wszystkiemu Rząd winien?!

Tak się przedstawia kronika galicyjska, aż do ery autonomicznej czyli samorządu. Czy ten cały ustrój autonomiczny jest zupełnie odpowiedni i wystarczający dla naszych stosunków i potrzeb krajowych, aby ten kraj podnieść moralnie i ekonomicznie, to jest znowu inne pytanie. Ale, czyniąc z sobą samymi rachunek sumienia, zadajemy sobie drugie pytanie i odpowiedzmy na takowe sumiennie: czy wszedłszy w posiadanie chociaż takich tylko praw autonomicznych, wyczerpaliśmy tychże doniosłość, czyśmy je zużytkowali w poczuciu sprawiedliwości równouprawnienia wszystkich stanów, a mianowicie ludu wiejskiego?

Niestety, tak się niestało. Wprawdzie znamy Rady powiatowe, patrzyliśmy na nie pilnie od pierwszego zawiązania aż po dziś dzień, gdzie obywatele ziemscy, stojący na czele tychże, spełniali swe obowiązki tak sumiennie i z taką szlachecką uczciwością, że nawet osobista niechęć lub nieprzyjaźń musi oddać wyrazy uznania i czci.

Weźmy za przykład Radę powiatową w Krośnie i przypatrzmy się, jak powinno działać prawdziwe poczucie obywatelskie. Powiat ten, jest jakby oazą na puszczy galicyjskiej.

Tam każdy sprawiedliwy człowiek musi oddać cześć takiemu ś p. Ignacemu Łukasiewiczowi, i pracującemu wytrwale po dziś dzień Starowiejskiemu, szlachcicowi starego rodu, a chociaż konserwatyście czystej krwi, u którego jednak miłość kraju i patryotyzm, nie są czczym frazesem. Można się z nim niezgadzać w poglądach politycznych, ale pod względem spełniania obowiązków obywatelskich, należy mu się zupełne uznanie od obywateli wszystkich stanów.

Niechcemy jednak twierdzić, aby tylko Krosno stało na takiej wyżynie pracy autonomicznej, gdyż można znaleść więcej jeszcze takiej sumienności i uczciwości, gdzie niemal tytańską pracą, zdobywa się co można z praw autonomicznych dla dobra kraju. Gdy to jednak są w stosunku do całości, niestety tylko zawsze oazy, a więc taka działalność i chociażby jeszcze więcej spotęgowane poświęcenie, pozostaną tylko pracą Syzyfa, bo jak przysłowie mówi: „nec Hercules contra plures“. A jeżeli na taką oazę wieją ze wszech stron zimne i szkodliwe wiatry, to nawet najlepszy zasiew niemoże w całości zakiełkować i wydać odpowiedniego plonu. Być może, że któryś z czytelników może uczynić zarzut: — dlaczegoż to z tej właśnie oazy krośnieńskiej wyszły najpierwsze potworne baśnie o powstańcach, chcących chłopów wyrzynać i t. d.

Na takie zapytanie odpowiadamy, iż gdyby tak rzeczywiście było, to nie można szukać przyczyny w powiecie krośnieńskim, lecz jak słusznie niektóre pisma orzekają, wieści te przyniosły i rzuciły czarne kruki, które usiłują w całym kraju, zaszczepiać zarazę. Dzięki Bogu, możemy na pewne twierdzić, że kruki te nie wylęgają się ani z polskich ani ruskich gniazd, ale tak samo jak dżuma nawiedza nas z północnego wschodu i te szatańskie podszepty ztamtąd zlatują. Zaraza ta, rzucająca na naszą glebę swój pognój przez Dobriańskich, Naumowiczów, Płoszczańskich, którzy niestety zanadto mają swobody do swoich praktyk, macają każdy puls, gdzie te zaczynać praktyki, znajduje już rolę dostatecznie uprawną chwastami, wskutek braku zasiewu zdrowego, jaką prawa autonomiczne umożebniają. Niedziw więc, jeżeli najczystszy zasiew, rzucony na glebę troskliwą ręką, idzie na marne, gdy go z sąsiednich pól tłumią chwasty, których ręce gospodarzy nie plewią.

A niedaleko potrzeba szukać w tamtych stronach, aby się przekonać, jak się to spełniają autonomiczne obowiązki obywatelskie, w innych radach powiatowych, gdzie były dokonane fakta, że p. prezes, przez kilka lat dopuszczając się czynów najwstrętniejszych, — ulatniał się wreszcie do Ameryki; — gdzie zapomogi głodowe rozbierali pomiędzy siebie członkowie wydziału, etc., samo przez się, ku największej szkodzie biednego ludu. Jakżeż ma budzić się zaufanie u ludu, jeżeli na prezesa Rady powiatowej wyforytowała klika szlachcica, który ma tylko takie zasługi za sobą, iż wyszedł szczęśliwie z niezliczonej liczby procesów brudnych, kryminalnej natury, a których tłem było znęcanie się nad ludem, niczem nieusprawiedliwione katowanie, wyzyskiwanie, grabież, niepłacenie zarobionego grosza itd. itd. Czy taka osobistość, zajmująca wybitne stanowisko w autonomii krajowej może budzić zaufanie i wpływać na umoralnienie ludu i jego oświatę!

Czy i takiemu postępowaniu rząd winien?

Rozpatrzmy się bliżej po ziemi sanockiej i to w tej części kraju, gdzie nie można powiedzieć, aby świat był deskami zabity, — tam, gdzie tradycya prawdziwego szlachectwa jeszcze niewymarła, gdzie jeszcze jest znaczny zastęp szlachty, który się liczy z czcią i honorem rodowym, jak tego złożono dowód przy ostatnim wyborze p. Kozłowskiego na posła do Sejmu. Jakże sobie tam postąpiła, znana klika grabarzy moralności i dobrobytu kraju?

Prawda, że i tych wszystkich co głosowali za p. Kozłowskim, nie można jeszcze absolutnie potępić i zarzucić im, jakoby rozmyślnie i ze świadomością złego, chcieli się łączyć duchem z p. Kozłowskim. — Nie, o to ich nieposądzamy. Jedni czynili to z powodu zależności od wszechwładnej kliki, drudzy znowu z braku własnego zdania, dozwalali się klice bez sumienia obałamucić, wyprowadzić w pole. Część tylko takich, których żywot przedstawia tylko jedno pasmo egoizmu i łączności cynicznej z „Targowicą“ — cieszy się tem smutnem zwycięztwem.

Że jest niestety brak jeszcze pomiędzy naszą szlachtą świadomości tego co czyni — mamy przed sobą nader cenny dokument:

Oto znamy obywatela-szlachcica, którego pomiędzy sanoczanami możemy zaliczyć do tych, co to gdy z jednego drzewa „krzyż i łopata“, jemu przyznać należy tylko stronę dodatnią. Korespondując z nim, poczyniliśmy uwagi dotyczące zwycięztwa wyboru p. Kozłowskiego. I cóż nam odpowiedział? — oto dosłownie powtarzamy wyjątek z listu:

„Wyboru Kozłowskiego w Sanockiem nie pochwalam, ale to była demonstracya contra Zyblikiewicz“.

Jakaż to pyszna i charakterystyczna przyczyna, aby usprawiedliwić tych, którzy mieli na tyle cywilnej odwagi, aby opinii kraju rzucić w twarz rękawicę, cuchnącą niemoralnością. Ale klika tak zapuszcza głęboko korzenie, nietylko w sanockiej ziemi, ale po całym kraju, że może obałamucić nawet poczciwe żywioły.

Jeżelibyśmy chcieli zestawić to, co od początku autonomii donoszą organa publiczne o Radach powiatowych, a moglibyśmy i to przedstawić, co się w istocie dzieje teraz, to trudno się dziwić, że dziś nietylko lud, ale i sfery inteligentne, nietylko sprzykrzyły sobie tę działalność obywatelską autonomiczną, ale straciły w nią wszelką wiarę.

Gospodarka Rad powiatowych oddziaływa tak ujemnie nietylko na gminy wiejskie, ale niestety, za tym przykładem idą miasta i miasteczka. Defraudacye i oszustwa, są poprostu na porządku dziennym. A zkąd to pochodzi? Oto klika rozwielmożniona usiłuje każde stanowisko obsadzać oddanymi sobie służalcami.

A ileż takich Rad powiatowych, gdzie p. sekretarz stanowi o wszystkich czynnościach Rady; gdy wszyscy dygnitarze, zacząwszy od prezesa, są tylko tytularnymi?

Komuż to, jeżeli nie tej klice można zawdzięczyć, że pod każdym względem niewłaściwe „Obszary dworskie“ nie zostały dotąd połączone z gminami. Czy ta odrębność w wykonywaniu praw gminnych i ustaw, może się przyczynić do zbawiennego połączenia dla dobra kraju, dworu z chatą wieśniaczą?

---

ale niegłupi, on już dosyć kozę doił, ale procesów, chociażby prasowych tylko, i Świetnej c. k. Prokuratoryi boi się, że aż brrr!

Nie złapiesz mię Jasiu, każąc zbierać kronikę, abym za ciebie dopełnił jubileuszu prasowego dla *Strażnicy polskiej*. — Ludwik nie głupi.

A tu jak na złość, przychodzą do redakcyi i na ulicy mię łapią, znowu o nowinki, abym je zapisywał. Jeden woła:

— Panie Ludwiku, panie prowizoryczny kronikarzu, (widocznie chcąc mię wbić w ambit). Zapewne mu Jaś powiedział, że ja na ten raz „prowizorycznym“ — i gada:

— Wiesz pan? — w Krakowie p. R. dał panu S. w p...

— No i cóż ztąd, to mu pewno p. S. oddał.

— Ale gdzieżtam.

— No to go wyzwał.

— I to nie.

— A więc jakie sobie zrobi zadosyćuczynienie?

— Skarży R. przed forum t. zw. „spraw pyskowych“ — a dla zupełnego zreperowania honoru przyjaciele p. S. mają miejsce obrażone ucałować podczas bankietu, który p. S. dla nich wyprawia.

— A wieńca laurowego nie włożą mu na głowę?

— Być może.

— A czy p. S. nie został jeszcze w inne miejsce dotknięty?

— Dlaczego się pan o to pytasz?

— No, bo przyjaciele polityczni pana S. powinni wszystkie miejsca rehabilitować.

Ledwie mię ten cyrcumfatygant puścił, aż tu łapie drugi, i z wyraźną grozą w oczach, zgorszony widocznie do wysokiego stopnia, jak każdy prawdziwy „warchoł lwowski“, krzyczy, trzęsąc mię za ramię:

— Wiesz Pan! a to rzecz straszna, oburzająca!

— Nic nie wiem, co takiego?

— Oto — dali sobie buzi, wyściskali się i zapili sprawę starym tokajem!

— Starym tokajem zapili sprawę?

— Tak jest, tym samym co mu to na instalacyę przywiozła pełną skrzynię ta Excelencya z wielkim nosem.

— Aha, przypominam sobie, i teraz rozumiem o co rzecz chodzi. No wprawdzie się takiego rozwiązania sprawy nie spodziewałem, ale — co to znaczy mieć giętką naturę! Niemożna przeskoczyć, to podleść. Bryznie ci kto w oblicze, zapomnij, nieubędzie cię przecież. Czy cię kozioł rogami pobodzie, czy mucha ukąsi, daruj im, przebacz, bo to takie same stworzenie boskie jak i ty. Do wójta nie pójdzie się przecie na sprawę. Należy się dać przeprosić, dla wyższych wspólnych celów, dla innych ideałów.

— Jak to? pan, panie Ludwiku, prowizoryczny zapiskarzu kronikarski *Strażnicy polskiej*, takie teorye wygłaszasz, i niechcesz o tem pisać?

— Tak jest — ja Ludwik niegłupim. A nużbym poszedł jak Jaś kozę doić?

Com miał napisać, już napisałem, a aby mię znowu Jaś nie naciągał, gdy wyjdzie — notuję protokolarnie nowiny jak wyżej, i własnoręcznie podpisuję

Zresztą p. Platon Kostecki i p. Bełza nieomieszkają na tę zgodę coś zaimprowizować dla uczczenia członka honorowego.

*Ludwik,*

prowizoryczny zapiskarz kronikarski, przy „Strażnicy polskiej Nr. 4.

P. S. Jakaś feralna liczba ten Nr. 4., bo i przy ulicy Jagiellońskiej p. Jan z Oleksowa odbywa swe rekollekcye — pod Nr. 4.

Sprawa ta była już aż nadto szeroko poruszaną, aby ją tu na nowo przedstawiać.

Nieomal od początku ery autonomicznej słyszeć się dają nieustane nawoływania, przed każdymi wyborami do Sejmu i Rady państwa, aby stronnictwa nieużywały do swych zwycięztw środków demoralizujących, zbydlęcających lud wiejski i mieszczan.

Czy te nawoływania zapobiegły złemu? — Czy się kliki liczyły z przyszłością, do czego taka demoralizacya doprowadzić może, i że Nemezis mścić się będzie okrutnie na całym kraju?

Od kogoż to zależało i zależy w pierwszym rzędzie zapobiedz temu rozbestwieniu ludu, czy nie od starszej braci, czy nie od wrzekomych przewodników w obywatelstwie?

Czy i temu w pierwszej linji rząd winien? I cóż się dziś pokazuje? oto ciemny chłop lub mieszczanin, wyborca, wypije wódkę, zje kiełbasę, schowa za pazuchę reńszczaki, i głosuje tak, jak mu za to zapłacono. Ale czyni to jedynie dla tego, iż nieodebrawszy odpowiedniej oświaty, niemający wyobrażenia o własnych prawach obywatelskich, gdy do sejmu, niedopuszczono ani jednego chłopa, a do Rady państwa wszedł tylko jakby cudem Orzechowski, uważa wszelkie wybory tylko za pańską samowolę, przeciw której on, lud, niema jeszcze siły do walczenia.

W obec takich warunków, rozumuje po swojemu: „Ot — co dziś wypiję, zjem, lub schowam do kieszeni, to moje“. Ale w duchu, uważa tych co go poją i przekupują, za swych największych wrogów.

Jeżeli się zanadto mało robiło dotąd i robi, aby zmora pańszczyźniana zapomnianą została pod słomianą strzechą, a czynami co najmniej nieoględnemi podsyca się coraz większe rozjątrzenie i nieufność, to nie dziwmy się, że tak samo jak przed laty 40, dziś jeszcze na mazurach daje chłop ucho szatańskim podszeptom, „że się gromadzą w lasach“ „P o l a c y“, „p o w s t a ń c y“ — „a b y  c h ł o p ó w  w y m o r d o w a ć“.

Wobec tego smutnego faktu monstrualnego, gdy człowiek rozsądny wchodzi z sobą w kolizyę: czy się na taką wieść śmiać, czy płakać — należy jeszcze drugorzędne przyczyny rozebrać.

Oto w korespondecyi na początku przytoczonej jest wzmianka, jakoby misya duchowna miała się przyczynić do rozgoryczenia ludu. Otóż niewierzymy po prostu, aby ksiądz miał w kościele, w ten sposób mówić: „my się tu modlimy, a tam panowie po lasach strzelają. „O tem ośmielamy się wątpić. Jeżeli mówił, to o poszanowaniu niedzieli i świąt; lud zaś obecny w kościele, mógł sobie z łatwością dośpiewać, słysząc w lasach w niedzielę strzały, na polowaniu panów, (a miało to być polowanie, które dawał księżę Sanguszko) Czy przykład takiego nieposzanowania świąt, a oraz dawanie złego przykładu ludowi, wpływa na takowy korzystnie, pozostawiamy to sumieniu opinii publicznej.

Nie zapominajmy o tem, że lud nasz aczkolwiek przeważnie ciemny, a nawet poczucie religijne pojmowane jest przez niego względnie, to jednak, chociaż dla tego, że uważa niedzielę za dzień święty, poświęcony chwale Boga, nie depczmy w oczach jego przynajmniej tego jednego poczucia. Czynimy zarzuty księżom, —duchowieństwu w ogóle, że nie spełnia swych obowiązków gorliwie, za mało się zajmuje moralnością włościan. Przyznajemy, że ten zarzut może jest i słuszny. Ale kto temu winien? Moglibyśmy setki, tysiące przykładów wyliczyć, jak to właściciel, mieszkający we dworze, jako człowiek ucywilizowany, wrzekomo postępowy, nie uważa nawet za właściwe zachować choć decorum, aby pod słomianemi strzechami nie szerzyć w różnym kierunku zgorszenia.

Biada temu księdzu, któryby się odważył uczynić panu szlachcicowi lub nawet dzierzawcy przedstawienia, że się to przecież nie godzi tak postępować, wbrew czci Boga, i chociażby tylko najprostszej moralności społecznej.

Hajże wtenczas na księdza, fanatyka, klechę. Rozpoczyna się dokuczanie, prześladowanie, procesa nawet. Panowie obywatele odsuwają się naturalnie od takiego zacofańca, burzyciela Jeżeli panoch jest łacińskiego obrządku, to co to szkodzi zrobić z niego „socyalistę“, a jeżeli obrządku gr. kat. — „Moskala“. Szczególniej gdy idzie o jaką karczmę, w której się chłopstwo zapija, a karczmarz z niego wyciska ostatni grosz, ostatnią krowę lub zagon ziemi, biada księdzu, jeżeli przeciw temu zaprotestuje.

Wartoby posłuchać tych, którzy usiłują zakładać kółka rolnicze, kółka, do których się niestety tak późno wzięto, z czem się tacy założyciele spotykają. — Oto zaledwie kilka miesięcy temu, Zarząd kółek rolniczych we Lwowie, wysłał swego delegata w Rzeszowskie, gdzie w pewnej wsi nauczyciel, wójt gminy i kilkunastu gospodarzy postanowili zawiązać kółko.

Zgromadzono się w szkole na pierwsze posiedzenie, w obecności delegata ze Lwowa. Aliści niebawem szkoła została otoczoną przez dużą gromadę włościan, uzbrojonych w koły, cepy, kosy, siekiery, którzy twierdzili, że w szkole odbywa się spisek „rebelantów“, którzy chcą zrobić powstanie. Niepomogły żadne perswazye, objaśnienia, i z trudnością zażegnano burzę, aby zebranych „rebelantów“ nie związano, nie odstawiono do starostwa, lub nie zmasakrowano.

I któż ten nieszczęsny lud pchnął do takiego czynu? Oto żyd — karczma.

Jak zaś długo właściciele karczem nie zniosą tej demoralizacyi, nie zarzucajmy księżom opieszałości, bo ani ksiądz, ani nauczyciel, ani szkoła, nie zaradzą złemu. Przez kłęby pary alkoholicznej, nie przedrą się promyki słoneczne zbawienia.

W naszem przekonaniu, gdyby chociaż od początku ery autonomicznej zwrócono się troskliwie w te mazurskie okolice, gdzie tradycya 46. roku żyje jeszcze w żywej pamięci, gdyby tam skierowano wszelkie możebne usiłowania, dążące do umoralnienia ludu i jego oświaty, dziś niedożylibyśmy tego sromotnego objawu ducha, że c h ł o p  p o l s k i,  z n a  t y l k o  p o d  n a z w ą „P o l a k a“ — p o w s t a ń c a,  k t ó r y  c h c e  c h ł o p a  m o r d o w a ć.

Że procedura wyborcza, w ostatnich latach tak straszanie demoralizująca lud, niemało się przyczyniła do rozdmuchiwania tego żaru piekielnego, niewolno ani na chwilę zaprzeczać, o czem zresztą i korespondencye do pism prowincyonalnych, donoszą. Wieśniak niepotrzebuje naszych łask, nie potrzebujemy mu nic dawać z tego co jest naszą własnością, ale nie zapominajmy o tem, że on ma takie same prawa do obywatelstwa, do równouprawnienia. Unikajmy nawet pozorów, ż e  z  n a s z e j  p r z y c z y n y  doświadcza bardzo często niesprawiedliwości. Niech mu każdy właściciel dóbr ziemskich będzie rzeczywiście starszym bratem, opiekunem, nie w słowie tylko, ale w czynie, a działając w  t y m  k i e r u n k u  u p o r n i e bez szatania się chwilowego. niech posunie się do ofiarności nawet, pod względem zysków z karczem, niech w pracy na polu, nauce w szkole, a modlitwie w kościele świeci przykładem, a wtenczas i największe ciemności ustąpić muszą światłu Bożemu. Wtenczas chłop polski czy ruski, niebędzie widział w „Polaku“ powstańca, który go chce mordować.

---

# Zakład ś. p. hr. St. Skarbka

dla

## sierót i starców w Drohowyżu.

napisał

**J. N. z Oleksowa Gniewosz.**

II.

Chcąc dalej pisać o zakładzie drohowyzkim, a mianowicie jako o szkole dla rzemiosł, zmuszeni jesteśmy powtórzyć to, cośmy już nietylko w *Strażnicy polskiej* i *Sztandarze polskim* przedtem pisali, ale i w innych pismach, a nawet w osobnej książce pod tytułem: „O  p o t r z e b i e  r o z w o j u  p r z e m y s ł u  d o m o w e g o  w  G a l i c y i“ — przed dziesięciu laty. Były to jednakowoż głosy wołającego na puszczy. Dziś mamy już niestety namacalne skutki tej głuchoty.

Że wystawa krajowa w 1877 r. we Lwowie, była rzeczywiście epoką dla przemysłu i rękodzielnictwa w Galicyi, to się zaprzeczyć nie da, gdy nawet w najwyższej władzy autonomicznej kraju, jaką jest Wydział krajowy, powstał prawie nowy departament, który się wyłącznie temi sprawami zajmuje. Sejm uchwala w myśl czynionych wniosków komisyj przemysłowych i ankiet sumy, na podniesienie przemysłu krajowego, domowego, rękodzielnictwa i szkół specyalnych.

Wobec takich warunków i poparcia, zdawaćby się powinno, że przez lat ośm, jeżeli się nie zbyt wiele zrobiło, to przynajmniej pod to, c o  s i ę  j u ż  z r o b i ł o, położyliśmy silne prawidłowe fundamenta do pracy, oparte na zdrowej, trzeźwej myśli, a przedewszystkiem na zbadaniu nowych, rzeczywistych potrzeb.

---

# Pamiętnik więźnia stanu

ś. p.

## *Ks. Wincentego Bukowskiego,*

PLEBANA.

4)

(Ciąg dalszy).

**K l a s z t o r.**

Przyjechawszy do klasztoru OO. Dominikanów, idę do mojego kolegi, ale go nie zastałem we Lwowie. Udawszy się więc go księdza przeora, dowiedziałem się, że od pięciu miesięcy czeka na mnie suscepta, czyli rządowe zezwolenie i ksiądz przeor się dziwi, dlaczego dotąd nie wstąpiłem do klasztoru. Gdy księdzu przeorowi oświadczyłem, że właśnie namyśliłem się inaczej, i chcę cofnąć mój zamiar i pozostać na świecie z myślą pozostania mandataryuszem lub sędzią policyjnym, zaśmiał się głośno i wyszydził mię mówiąc: — „Zapewne ci jakaś dziewczyna zawróciła głowę Odsuń tę pokusę. Chcesz zostać mandatarem, a nie wiesz o tem, że ani twój wzrost, ani twój charakter nie jest do tego. Szlachcic życzy sobie, abyś mu jeszcze dzieci uczył za tak niską zapłatę; obiecuje ci złote góry, a wiem i znam szlachtę. Gdy po roku upomnisz się o obietnicę, umyje ręce i zostawi cię na lodzie. Zresztą, cóż z tego, że zostaniesz mandataryuszem? potrzeba ulegać dziedzicowi, cyrkułowi, trzeba zaprzedać sumienie, stać się powolnem narzędziem jakiego szlachcica oczajduszy i ślepo wykonywać jego rozkazy. Moja rada jest, abyś zaniechał tych złudnych zachcianek, i idąc według wewnętrznego głosu powołania swego, wstąpił do naszego zakonu, który nie jest tak surowym jak inne. Ot jutro jadą ztąd aspiranci, siądź i razem pojedziecie“.

Tak wybił mi ksiądz przeor służbę mandataryusza z głowy i zachęcił do zakonu. Wszelkie układy względem żeniaczki i mandataryuszowskiej służby rozbiły się o rozwagę, a najbardziej o ten szkopuł, kto poda rodzicom na starość pomocną rękę? do kogo się ucieknę, gdy nie będą mogli na chleb codzienny zarobić?

Podziękowałem za radę i przestrogę księdzu przeorowi i przyrzekłem wkrótce po zabraniu rzeczy stanąć w klasztorze w Podkamieniu na rozpoczęcie nowicyatu.

Bijąc się z myślami podczas całej drogi ze Lwowa do Ł., przeważały wszystkie moje okoliczności ku temu, aby zostać księdzem; jeżeli nie świeckim to zakonnym, a zwłaszcza Dominikanem. Najważniejszą pobudką do tego była miłość ku rodzicom, która przeważyła miłość do Kasi. Postanowiłem więc już nie zmieniać przedsięwzięcia swego i natychmiast uciekać z Ł.

Przyjechawszy tam, było mi na rękę, że nie zastałem szlachcica w domu ani jego małżonki. Zabrawszy chłopców wyjechali z domu na, kilka dni. Spakowałem się i pobiegłem do Kasi, aby się pożegnać — na zawsze. Nie chciałem jej o tem mówić, że i ogniwo naszej miłości pękło na zawsze.

Z wielką radością serca witali rodzice, witała i Kasia, pełna najlepszych nadziei. Nalegające pytania względem odebrania świadectw od księdza prowincyała, zbywałem wymówkami. Rozmowa cała podsycana z ich strony, była ciągłem podchwytywaniem. Myśli mi się plątały, ciężko mi było na sercu i byłem w jak najgorszem usposobieniu. Przeczuła to Kasia i przeczuwała jej matka, że się coś święci niedobrego, ponieważ wpadałem w zadumanie, a nawet chwilami byłem nieprzytomny. Odpierałem ich wątpliwości, tłumacząc się niewyspaniem i zmęczeniem podróżą. Tak trwało aż do zmierzchu, a dając znowu za powód niewyspanie, wychodzę z pomieszkania, zwykłem „dobranoc“ pożegnawszy matkę. Kasia wyszła ze mną, która mię zwykle do furtki odprowadzała. Tu wśród rozmowy objąłem ją za szyję i gdy mi łzy popłynęły z oczu, złożyłem na jej ustach aż trzy gorące pocałunki. Uchwyciłem ją za rękę i włożyłem jej wiersz pożegnawczy, wołając: — „Bądź zdrowa Kasiu! bądź zdrowa na zawsze i szczęśliwa!“

Pognałem do domu, nie zważając na jej głos wołający, który mi się głosem syreny zdawał. Wkrótce wtórował jej głos matki, obie biegły i wołały za mną. Byłem jednak głuchy na te wołania i przyspieszałem ucieczkę.

Tak pękło ogniwo mojej pierwszej i ostatniej miłości. Odtąd nie widziałem jej i nic dotąd niewiem co się z Kasią stało. Po chwili przybył do mnie jej ojciec. Zrazu z przedstawieniami, potem z wyrzutami. Silił się oderwać mię od mego zamiaru; ale byłem niezłomny i pożegnałem go z zapewnieniem, że nasza miłość była czysta i że takie moje przeznaczenie.

Nazajutrz skoro zaświtało byłem już w drodze do klasztoru. Zrazu drobny, potem ulewny deszcz trzepał mię przez całą drogę. Co dwie mile chłop stawał i rzucał koniom siano lub sieczkę. Zanurzony w myślach nad przyszłem powołaniem, liczyłem się z siłami czy będę mógł podołać temu świątobliwemu zawodowi. Słyszałem w duszy płacz i narzekania Kasi na zmienność i brak cha

Tak się jednak nie stało i do tej chwili nie dzieje. Wydaliśmy sporo grosza, rzucając takowym jakby rozmyślnie w błoto. A dlaczego tak się dzieje? zapytasz słusznie czytelniku.

Oto dla tego, że nas ta nowa era pracy ekonomicznej nie zastała przygotowanych, wyuczonych, wykształconych i nie mających poprostu poglądu elementarnego na warunki rozwoju, mimo wszelkich jak najlepszych naszych chęci; poród ten nazwać można wprost poronionym. Niewolno zaś i o tem zapomnieć, komu się to oddaje kierownictwo takich spraw przemysłowych, kto w nich staje się wyrocznią. Nigdzie może nie traktuje się takowych tak lekkomyślnie przez tego rodzaju znakomitości, siły, powagi, jak u nas.

Pierwsza lepsza, nawet niezręczna, byle tylko śmiała blaga, mogąca liczyć na poparcie wpływowe, na protekcyę, na szerokie plecy, stanowi często wyrocznię w sprawach najżywotniejszych. Wystarcza przeczytać kilka książek lub pism, których przeciętny, zwykły śmiertelnik nie bierze do ręki i niezna takowych, aby się stać od razu powagą ekonomiczną, przemysłową, szafować według widzimisię groszem publicznym.

Jeżeli zaś i w Sejmach trudno się spotkać z ludźmi wykształconymi fachowo, a przynajmniej chociaż encyklopedyczne pojęcie mających o przemyśle, rękodzielnictwie i prawdziwych potrzebach kraju, to czy się dziwić można, że pp. posłowie przyjmują referaty, wnioski, bez wszelkich dyskusyj, jeżeli tylko takowe przedłożyła jaka wrzekoma powaga, „znakomitość“. Nic więc dziwnego, że nawet w Izbie Sejmowej, na publicznych posiedzeniach, wchodzi poseł referent na trybunę i z powodu nieznajomości przedmiotu, strzela takie bąki, które są jedyne w swoim rodzaju.

Z braku fachowej znajomości, nie tylko mówią z trybuny, ale komentują drukowane wnioski na w ten sposób, że gdy się ktoś połapie, wybucha śmiech homeryczny. Niechaj chociaż jeden przykład posłuży na stwierdzenie tego co piszemy.

Przed kilku laty, referował w Izbie Sejmowej pewien poseł o budowie drogi z Żółkwi do Kamionki Strumiłowej, gdzie z powodu braku kamienia, postanowiono używać „klinkerów“, czyli wypalonej gliny aż do zeszklenia. Pan referent, aczkolwiek był przedtem szefem nad inżynierami, budującymi drogi krajowe, nie miał pojęcia to co oznacza „klinker“ i zrobił z tego materyału zakomitego technologa inżyniera, pana Klinkera.

A przecież takie powagi mają najczęściej stanowczy głos w sprawach, mających na celu rozwój przemysłu i rękodzielnictwa w kraju. Otóż, niedziwi nas też wcale, jeżeli przy wprowadzeniu w życie Zakładu w Drohowyżu (a działo się to przed r. 1877, gdy popieranie, jakiegokolwiek przemysłu nie stało się jeszcze modnem), ni ewidziano nic przed oczami, oprócz szewstwa, krawiectwa, kowalstwa i kilku innych pierwotnych gałęzi rękodzielniczych.

Nie znalazł się ani jeden śmiertelnik wtenczas, któryby się był bliżej zastanowił nad wolą ostatnią znakomitego obywatela Fundatora.

Musiało się więc tak stać, że zakład wszedł w samym zarodzie na najbłędniejsze tory, a nawet szkodliwe dla kraju.

A i tego pominąć nie wolno — że cel Zakładu zepchnięty został na drugi plan, bo na pierwszym postawiono synekurę — dla tych, którym oddano dyrektywę i zarząd zakładem.

Rada nadzorcza, była tylko jako „decorum“, jako płaszczyk, osłaniający nadużycia i rabunki rozmaitych Köweszów.

Jakkolwiek w Galicyi, po otworzeniu już pierwszych dróg żelaznych, jak Kraków-Lwów-Brody-Czerniowce, przemysł i rękodzielnictwo doznały stanowczego upadku i nic nieuczyniono, aby te gałęzie ekonomiczne mogły starczyć ku własnej obronie od najazdu i zalewu zagranicznego, to jednak pewne działy rękodzielnicze, które dotąd prowadzą zaciętą walkę, są u nas w kraju tak rozgałęzione i na takiej stopie doskonałości, iż jest widoczną nadwyżka rąk roboczych. Bieda i nędza, jaka się pomiędzy nami czuć daje, niepochodzi z powodu nieudolności fachowej, ale z powodu braku środków do prowadzenia prawidłowego warstatów i zakładów przemysłowych. W braku kapitału obrotowego i kredytu taniego, należy szukać przyczyn biedy i nędzy, ale nie w braku umiejętności.

Do takich podstawowych rzemiosł należą w pirwszym rzędzie: szewstwo, krawiectwo. To też ubolewać należy nad tak bezpodstawnymi projektami, aby dla tych dwóch działów zakładać jeszcze osobne szkoły praktyczne i warstaty, gdyż najprzód w tego rodzaju szkołach i warstatach, jak doświadczenie poucza, nigdy uczeń, a przynajmniej w nader rzadkich wypadkach dochodzi do jakiej takiej doskonałości. Wychodzą z takich zakładów niedouczki, partacze, którzy pomnażają liczbę proletaryatu szewskiego — i krawców tak zwanych „połatajków“.

Są to nędzarze — a których Galicya posiada legie. Szewstwo i krawiectwo jest u nas tak udoskonalone, że może iść śmiało w zawody z najznakomitszemi pracowniami wiedeńskiemi, paryzkiemi, londyńskiemi. Hiperprodukcya w tym kierunku jest tak wielka, iż gdyby uczniowie tych rzemiosł, przez kilka lat przestali wstępować do warstatów, jeszczeby się brak szewstwa lub krawiectwa nie dał uczuć. Proletaryat ten jedynie po wiekszych miastach dostaje się ostatecznie w ręce handlarzy i wyzyskiwaczy — gdzie pędzi żywot wśród takiej strasznej nędzy — że go ten prowadzi jedynie na drogę występku, zbrodni i daje ucho ideom przewrotu społecznego.

Przy otwieraniu Zakładu w Drohowyżu, zaprowadzono jednak te dwa rzemiosła, czyli ich naukę — na pierwszym planie.

O niewiele korzystniej przedstawia się w Drohowyżu nauka kowalstwa, ślusarstwa i stolarstwa. Pierwsze dwa, to jest kowalstwo i ślusarstwo, mają przed sobą wprawdzie lepsze warunki bytu — a szczególniej ślusarstwo. Każde jednak z tych rzemiosł, rozgałęzione jest, rozczłonkowane w najrozmaitszych kierunkach. Przedewszystkiem należy umieć rozróżnić kowalstwo i ślusarstwo ręczne od mechanicznego i fabrycznego,

Nauka ręczna pierwszą tu jest podstawą do wszystkich innych działów.

A więc, warstaty samym Zakładzie drohowyzkim, powinny być tylko szkołą przygotowawczą, wstępną, dającą rozpoznać uzdolnienie pojedyńczych uczniów, do tego lub owego działu rękodzielniczego.

Mówimy tu wyraźnie o w warstatach znajdujących się w obrębie głównym Zakładu, czyli tegoż gmachu, — jak takowe są dotychczas urządzone i zaopatrzone w narzędzia, oraz maszyny pomocnicze.

To, cośmy powiedzieli o kowalstwie i ślusarstwie, dotyczy i innych rzemiosł, jakoto: stolarstwa, stelmachstwa, powoźnictwa, blacharstwa. O nader ważnem tokarstwie pomówimy osobno.

Największym błędem, jaki tylko mógł być popełniony przy nauce rzemiosł w Zakładzie tym, jest zrobienie z tychże warsztatów produkcyjnych, konkurencyjnych na zysk pod warunkami jakie się tam praktykują.

Urządzenie tych warstatów, bez ograniczenia pracy ręcznej, ale rozszerzenia jej na stopę zakładów fabrycznych, to jest z użyciem różnych machin pomocniczych, wprawianych w ruch za pomocą motorów parowych, wyrabianie maszyn i narzędzi rolniszych, a mianowicie działu powoźnictwa, musiało wywrzeć jak to łatwo widzieć najgorsze skutki, które prędzej czy później, zagrażają dochodom Fundacyi bankructwem.

Główny zarzut zmuszeni jesteśmy uczynić przeszłej kuratoryi i pierwszym Radom zawiadowczym, które zawarłszy bez bliższego zastanowienia się umowę z panem Łazowskim, na zarządzcę warstatów, oddały mu zupełną swobodę, w zaprowadzeniu według własnego widzimisię działów nauki rękodzieł.

Pan Łazowski, kształcił się o ile nam wiadomo na inżyniera mechanika. Jaką odbywał praktykę po ukończeniu nauki inżynierskiej, w jakich działach, i gdzie, niemożemy powiedzieć. O ile jesteśmy powiadomieni, patrząc na niego od lat kilkunastu, to praktyka ta, zasadzała się głównie na zarządzie, — przepraszamy p. Łazowskiego na „Dyrektorstwie“ fabryki narzędzi rólniczych i machin przy ulicy Balenowej we Lwowie. Fabryka ta, zmarnowawszy znaczne kapitały, niezasłużywszy sobie na dobre imię i uznanie, zakończyła żywot swój — bankructwem, a ostatnim dyrektorem tej fabryki, był p. inżynier Łazowski:, chociaż zarzut nie na nim wyłącznie cięży, ale i na jego poprzednikach dyrektorach, którzy tak samo jak on, niebędąc w tym dziale fachowo specyalnie wykształceni, praktykowali i eksperymentowali na tem dyrektorstwie.

Nic to jednak nieprzeszkadzało p. Łazowskiemu, aby tenże mając widocznie silną protekcyę, został rządzcą wszechwiednym warstatów w Drohowyżu, w którym postanowił kosztem funduszów Fundacyi, dalej się bawić, eksperymentować, czyli czynić chociażby najkosztowniejsze doświadczenia.

Jak tam na tem wyjdą uczniowie, wychowańcy zakładu, o to mu widocznie nigdy nieszło i jest mu najzupełniej obojętnem.

Gdy zaś miał najwięcej wyobrażenia o narzędziach rolniczych i machinach, dla czegożby nie stworzyć z Zakładu w Drohowyżu, nie szkoły warstatów, ale fabryki, w całem słowa tego znaczeniu.

---

rakteru, to znowu widziałem ojca i matkę wyciągających ręce swoje ku mnie. Następnie widziałem tłum niedowiarków, kolegów moich, szydzących, żem się dał zmniszyć. Te i tym podobne widziadła snuły mi się po głowie, przed oczami duszy, gdym przeziębnięty na wskróś i przemokły wjeżdżał do Podkamienia, i przy zmroku widziałem ten nieszczęsny klasztor, w którym miałem być zamknięty.

Już się ciemno zrobiło, nim się konięta zmordowane i zbiczowane dostały pod górę i do tego wysokiego klasztoru, którego już przed sobą nie widziałem. Noc była ciemna, jak to mówią „oko wykol“.

Po silnem pukaniu i wołaniu odezwał się tam jakiś stróż i na oświadczenie, że przyjechał aspirant do zakonu, odemknięto bramę i wózek zatoczył się na dziedziniec.

Przy latarni zapłaciłem chłopu, a idąc za dźwigającym kuferek stróżem i za latarką, dostałem się po schodach na kurytarz, gdzie stróż zadzwonił kilka razy, aż pokazał się braciszek, który usłyszawszy kto jestem, zaprowadził mię po schodach na górę.

Jakież było moje zadziwienie, gdy otworzywszy wielką salę, zastałem mnichów i nie mnichów w pląsach, porozbieranych i pijanych, przy konewkach piwa i butlach gorzałki, hasających przy rzępolącej muzyce.

— To tak wy tu pokutujecie?! — zawołałem. Ale wnet jako koledze przyniesiono kielich wódki, kawał chleba i bryndzy na posiłek, a potem kilkoma kuflami piwa, lanego prawie gwałtem w garło, sforsowano mię do takiego humoru jak inni. Zawrzała krew, więc dalejże i ja w pląsy. Jak mógłem, tak przebierałem nogami. Był to dzień obłóczyn kilku aspirantów, a przeor nie żałował wódki i piwa na te gody.

Wkrótce i ja za sprzedany żydom płaszcz wyprawiłem taką ucztę zakonną.

Z wyszumiałym łbem, chociaż z bólem głowy, wstawszy nazajutrz, przedstawiłem się księdzu wikaremu, bo ksiądz przeor przez cały tydzień w klasztorze nie bywał, a dopiero w sobotę wieczorem przyjeżdżał i po nabożeństwie w niedzielę odjeżdżał na wieś, gdzie sobie hulał jak szczupak po stawie.

Oglądałem wewnątrz i zewnątrz ten ogromny klasztor; podziwiałem pobożność staropolskiej szlachty, która nie szczędziła pieniędzy na takie gmachy dla Bożej chwały.

Podkamień, miasteczko u podnóża skalistej góry, leży 12 mil za Lwowem. Należało do Wołynia to dziedzictwo Cetnerów. Klasztor, przedstawiający podwójny czworogran, opasany murem z ciosowego kamienia, które przeorowie żydkom posprzedawali, i wałem podwójnym. Przepyszny gotycki kościoł z wysoką wieżą, imponujący całej okolicy. Jest tu cudowny obraz Najśw. Maryi Panny, a za ołtarzem stopki Matki Boskiej i dzieciątka Jezusa. Do kościoła tego lud pobożny z daleka pielgrzymuje. Na dziedzińcu klasztornym stoi posąg śpiżowy Najśw. Maryi Panny. Niezliczone cele na 100 mnichów, a długie kurytarze napełnione obrazami klasztornymi średniowiecznymi. W kościele przepysznej roboty wielki ołtarz, i kilka pobocznych kaplic, zajmuje wzrok zwiedzającego.

Pod samym klasztorem sterczą dwie czy trzy skały w kształcie maczugi i zdaje się, że chcą runąć na klasztor. Są to skały wapienne, złożone z drobnych muszli. O skałach tych ludność okoliczna twierdzi, że je djabeł niósł na mizernym palcu, chcąc klasztor zawalić; ale kogut zapiał, djabli zniknęli i zostawili te bryły.

Przepyszny jest widok z tej góry na liczne wsie, miasteczka, na klasztor Poczajowski, miasto Brody, Radziwiłłów, Krzemieniec, Wiszniowiec, Markopol, Załośce, Oleksyniec. Klasztor podobny do fortecy, murem opasany, posiada jeszcze dwie baszty.

I w tym to odludnym klasztorze na ustroniu obrano siedlisko dla nowincyatu, a przedewszystkiem dlatego, że tu najłatwiej wyżywić tylu nowicyuszów, gdyż do tego klasztoru należy kilka wsi i miasteczko Gołogóry, a do tego jeszcze parafia w miejscu.

Było nas ośmnastu nowicyuszów, z różnych stron zgromadzonych. Byli porządni chłopcy i różne z gór tatrzańskich szmatałajstwo. Między porządnych liczyłem księdza Woytę, ukończonego teologa z Czech, zkąd niemało tu się do naszych klasztorów ściągało; księdza Sadoka Barącza, ormianina, który później zasłynął z pism swoich; księdza Dalmacego Ufryjewicza, znanego z patryotyzmu i z energii; księdza Szczepana Poruckiego, nauczyciela w szkołach.

Zatrudnieniem naszem było odmawiać pacierze, posłużyć do Mszy, pozamiatać cele. Około 10. chór, czyli litania do Matki Boskiej. Po obiedzie i wieczor znowu pacierze. Reszta czasu schodziła nam na pogadankach i na figlach, a po obiedzie przechadzka w okolice.

Chociaż między nami byli i z talentem młodzieńce, to z braku zatrudnienia umysłowego czepiali się wybryków, zwłaszcza, żeśmy zrazu nie mieli nawet magistra. Młodzież góralska pociągała gorzałkę po szynkach lub na przechadzkach, stykając się ze strażą pograniczną. Gdyśmy się tak zeszli, to pękło nie mało szklanek. Byli nawet tacy

Pan Łazowski dobrze rozumował, i tak: mając do użytku obszerne budynki, narzędzia, maszyny, materyały na zawołanie, jakich tylko zażądał, a co najważniejsze, majstrów i czeladników wykształconych, jako to: kowali, ślusarzy, tokarzy, stolarzy, stelmachów, tapicerów, lakierników etc., postanowił wraz z Juliuszem Starklem zadać szyku i stanąć do konkurencyi przemysłowo handlowej, z wszystkimi warstatami i fabrykami krajowemi. Niedosyć jednak tym panom było na narzędziach rolniczych i machinach, bo wprowadzono pod takimi samymi warunkami stelmachstwo i powoźnictwo, tak samo w warunkach konkurencyjnych.

Nie zaszkodzi i to wiedzieć, że powoźnictwo stoi u nas w kraju w stosunku do innych rękodzieł pod względem doskonałości, bardzo wysoko. Warstaty powoźnicze, we Lwowie, Krakowie, Przemyślu, Stanisławowie i po innych jeszcze miastach w Galicyi; pracują tak dzielnie w dziale powoźnictwa, że śmiało wytrzymują konkurencyę, nie tylko ze słynnymi powozami wiedeńskimi, ale i innymi zagranicznymi. Dajmy tym przemysłowcom odpowiednie kapitały do rąk, ułatwijmy im tani kredyt, a powoźnictwo i stelmachstwo galicyjskie będzie miało szeroką sławę.

Ale wróćmy do Drohowyża. — Niebawem stanęły tegoż warstaty do konkurencyi w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu, na wystawach nietylko krajowych, ale spółka Starkel & Łazowski (czy z wiadomością Rady zawiadowczej — nie wiemy, ale zdaje się że na własną rękę i odpowiedzialność) postanowiła zadać już grubszego szyku i jednym zamachem zyskać sobie sławę.

Szafując szczedrze groszem fundacyjnym, na tę najsmutniejszego kroju blagę, wysłano wyroby drohowyzkie do — Kijowa! Śmiałość tego kroku jest rzeczywiście zadziwiającą, a możebną tylko wobec bezkarności, jaką nasz krajowy nepotyzm osłania swoich protegowanych, uosobioną blagę, nieuctwo, byle takowe posiadały tylko lokajskie przymioty.

Wynik tej wyprawy po złote runo, był łatwy do przewidzenia. Koszta pożarły tysiące, a prawie cała wysełka została zaprzepaszczoną. Pomimo to, p. Starkel dopiero teraz opuszcza Drohowyż, a p. Łazowski jeszcze jest zarządcą i głównym kierownikiem warstatów.

Zapytujemy wszystkich przemysłowców i rękodzielników: czy warstat rękodzielniczy, jako zakład naukowy, może się kusić i czy to czynić powinien, aby w rzemiośle podstawowem zamieniać się na zakład konkurencyjny, czyli współzawodniczący, z warstatami i fabrykami prawidłowemi?

Mogłoby to tylko mieć miejsce w tym wypadku, gdyby pp. Starkel & Łazowski byli wzięli zakład w entreprysę dzierzawną, nigdy zaś na ryzyko fundacyi.

W innym kierunku, w innych działach przemysłu, mogłoby się to praktykować, a nawet powinno, lecz o tem ci panowie nie mają nawet najmniejszego wyobrażenia. Nie będziemy tu wyliczali całej litanii faktów, bo na to niema miejsca. Zresztą już takowe przytaczaliśmy. Dziś wskażemy tylko czytelnikom, jak się ta produkcya konkurencyjna praktykowała i gdzie ona dalej mogła zaprowadzić zakład, gdyby się stosunki fundacyjne nie były zmieniły.

Już sam pomysł, aby w takim zakładzie jak drohowyzki wprowadzać dla nauki rzemiosł działy narzędzi rolniczych, machin i powoźnictwo, nie wytrzymuje najłagodniejszej krytyki. Jak wiadomo, oba te działy potrzebują oprócz gruntownej znajomości fachowej, wykształconych, wprawnych robotników, równocześnie znacznych nakładów na różnolite materyały. W zakładzie są wprawdzie do każdego działu fachowi majstrowie i pomocnicy, czyli tak zwani „Vorarbeiterzy“ ale naturalnie tylko w takiej ilości, aby uczniowie, na których główna praca spoczywać powinna, jako nauka, mieli wskazówki, jak używać narzędzi i jak niemi władać.

Narzędzia rolnicze, machiny, wózki, powozy, są to zaś takie wyroby, które winny być z największą dokładnością wykonane, jeżeli niemają przedstawiać nieudałych próbek partactwa, lecz jak pp. Starkel & Łazowski sami mawiali, towar na sprzedaż i to konkurujący jakością i taniością.

Jest to za śmiałe żądanie, nawet wobec poświęcenia patryotycznego, aby obywatele kraju, dla zaopatrzenia swych potrzeb, mieli zawsze na tyle odwagi, kupować n. p. powozy, wykonane przez uczniów nietylko w zakładzie drohowyzkim ale gdzieindziej.

Przypuśćmy jednak, że produkcye pod względem jakości wykonania były dobre. Ale jakże wychodzi Fundacya w obec tej konkurencyi z warstatami i fabrykami krajowemi, pod względem absolutnej taniości cen, po jakich wyroby były zamawiane w Drohowyżu, lub na wystawach święciły? Ktoś zamówiwszy powóz za cenę 500 zł. otrzymał go za tę cenę, — gdy nakład na wykonanie tego powozu i materyał, **wynosił od 900—1100 zł.** A więc dla renomy i sławy pp. Starkla & Łazowskiego dołożyła kasa Fundacyi 400—600 złr.

Panowie fabrykanci powozów! uprzytomnijcie sobie ten fakt konkurencyjny.

Lecz nietylko z budową powozów tak się działo, ale przeciętnie z wszelkimi innymi wyrobami w Zakładzie drohowyzkim, bo nawet na oddziele szewskim, jeżeli ktoś zamówił parę butów za 5—6 złr. kosztowały te buty w samokoszcie o 60 ct. do 1 złr. wyżej, które kasa dokładała na rzecz kupującego. Jesteśmy dalecy od tego, aby chcieć pp. Starkla lub Łazowskiego posądzać, o ciągnięcie osobistych korzyści; bynajmniej, o to ich nie posądzamy, ale zmuszeni im jesteśmy czynić zarzuty zupełnej nienajomości rzeczy, lub też do najwyższego stopnia posuniętej lekkomyślności.

Fakta tego rodzaju, są znane nietylko nam, ale zapewne i nowej Kuratoryi, oraz Radzie zawiadowczej. Jeżeli zaś są nieprawdziwe, prosimy o zaprzeczenie. W takim razie zmuszeni będziemy złożyć dowody.

Faktem jest, że p. Łazowski niemiał nawet przybliżonego pojęcia o powoźnictwie i robotach pociągowych, lecz mając odnośnych majstrów, winien ich był w takim razie kontrolować i czynić odpowiedzialnymi za wykonanie prawidłowe robót. Tego jednak niebył zwykł czynić, bo na to mu własna jego duma czy zarozumiałość niepozwalały. Nieprzyjmował żadnych uwag nawet od ludzi fachowych, uważając się za arcymistrza, w szewstwie, krawiectwie, powoźnictwie i wszelkich innych działach, jakie się w Zakładzie praktykowały. Dawał dyspozycye przedmiotowe i rysunki. Naturalnie majstrowie i czeladnicy musieli milczeć, robić co kazał. Pokazywało się następnie, że to były nieudałe doświadczenia, eksperymenta, a więc w kąt z robotą; połam, popsuj, przerób i znowu eksperymentuj na nowo! Teraz wiesz czytelniku, dla czego powóz za 500 złr. sprzedany, cosztował 900 —1100 złr.

Te próbki powinny wystarczyć, aby nabyć wyobrażenia o dotychczasowem prowadzeniu warstatów rękodzielniczych w Drohowyżu. Przechodzimy zaś do poglądów, co z tym fantem dalej zrobić, aby europejskiego znaczenia Fundacya znakomitego obywatela, wyszła rzeczywiście na pożytek kraju. Niedosyć bowiem ganić wszystko i potępiać w czambuł, jeżeli się nie ma coś właściwszego na to miejsce do postawienia.

Poglądy nasze, które poniżej kreślimy nie są płodem jakiejś nieuzasadnionej fantazyi, ale wynikiem przeszło 30-letnich badań i studyów, wynikających z nauki teorytycznej i praktycznej, zbieranej po różnych krajach Europy, porównywując z zastanowieniem wszystko z naszymi warunkami krajowymi.

Jesteśmy dalecy od absolutnego narzucania komuś tych naszych poglądów, ale być może, że się chociaż jakaś cząstka na coś przyda i w tej też jedynie nadziei piszemy. (C. d. n.)

## BEZKRÓLEWIE.

Pod powyżej napisanym tytułem odebraliśmy korespondencyą z Kijowa o dziennikach reakcyjnych, rozszerzających w narodzie naszym jady zatracenia i serwilizmu. Upraszamy o rozszerzenie tej korespondencyi pomiędzy zaślepionymi, upokorzonymi i uprzedzonymi, co nie wiedząc o tendencyach dla Polski zabójczych, popierają pisma reakcyjne:

„Mam przed oczyma „Pamiętnik Jakóba Sieversa“ z r. 1793, znanego ambasadora w Warszawie z czasów rozbioru Polski, wydany dopiero w 1866 r., w Poznaniu, staraniem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, nakładem Żupańskiego. W tym pamiętniku, oprócz wielu innych ciekawych szczegółów, znajdujemy następujące notatki ambasadora, wyliczające pieniądze, użyte na przekupienie na wyższych urzędników polskich, stojących na czele narodu:

„„Zabiełło, marszałek konfederacyi litewskiej. Temu Zabielle dawałem miesięcznietysiąc dukatów, wstrzymując je czasem przez osiem do dziesięciu dni, w miarę powodu, dla którego więcej lub mniej byłem z niego niezadowolony.

Ożarowski miał w ciągu dwóch miesięcy po przyjeździe moim po pięćset dukatów, a od tego czasu także po tysiąc dukatów miesięcznie. Zapłaciłem także nadto tysiąc dukatów za mieszkanie i pojazdy jego posłów. Od Igelströma otrzymał tysiąc dukatów za wybory krakowskie i sandomierskie. Oprócz tego otrzymał on posadę komendanta miasta Warszawy z

---

co przez okienko, tuż przy olbrzymiej głowie statuy Jezusa Pana umieszczone, po głowie i ramionach tej statuy deptając, dostawali się na dwór, po za bramy i do miasta. Inni znowu romansowali i to nawet w samym dworze z garderobianemi i t. d. Pełno było wybryków niesfornej, nie strzeżonej, nieroztropnie prowadzonej młodzieży, która się do zakonnego życia przysposabiała. Ilużto można było wychować zdatnych, pobożnych kaznodziei i nauczycieli, gdyby ksiądz prowincyał i starsi w zakonie byli zwrócili na to uwagę, obierając zdatnego magistra, ktoryby umiał młodzież zatrudnić, prowadzić, a nie tak, jak z nami postępowano.

Karmiono nas najszkaradniej. Bielizny nie było, a ta co była, obdarta i zabrudzona nie do opisania. Pamiętam, że wysłanemu od kolegów do księdza przeora o bieliznę, gdy mu pokazałem koszulę, a szczególniej dolne płócienne, lazarońskie ubranie, zarumieniony ze wstydu, wyjął z szafy i dał swoje własne, które potem związawszy sznureczkiem na szyi i przez rozprute bo bokach otwory przesunąwszy ręce, chodziłem po salach i pokazywałem kolegom, w jaką nas ksiądz przeor chce zaopatrzyć bieliznę, aby razem i koszulę i dolne ubranie zastąpić mogła, co niemało śmiechu wywołało. Zostawieni samopas, płataliśmy nie mało figlów, nie mogąc się przyzwyczaić do starowiecznych i niedorzecznych mnichowskich zwyczajów. Między innemi było i to, aby każdy nowicyusz spotkawszy starszego, szkaplerz, t. j. wąski w kształcie ręcznika pas habitu, który się przez głowę wkłada, a z przodu i z tyłu wisi, przytknąwszy do czoła, upadał do nóg. Ta ceremonia bardzo nam się nie podobała, a szczególniej mnie. Jak mogłem, tak się wykręcałem od niej, a często nie mogąc uniknąć spotkania się z kapłanem, wolałem go ucałować w rękę, niż zrobić tę „venię“ jak to nazywano.

Starzy safanduli oskarzali mię przed księdzem przeorem, że jestem zuchwały, że się nie stosuję do zakonnych reguł i t. d.

Strofowany o to przez księdza przeora, tłumaczyłem mu, że takie pokłony tylko się Bogu przynależą, a nie ludziom. Ale daremne były wymówki. Ja tego — mówi rozumy ksiądz przeor — nie potrzebuję, ale skoro zwyczaje takie zaprowadzone w regule, zachować je trzeba. — Nauczył mię, jak się to robi, i dał surowe upomnienie, aby się do tych przepisów zastósować.

— Poczekaj — pomyślałem sobie — pokażę ci, że to jest głupstwem, ta wasza „venia“.

Razu pewnego, jakoś na początku wiosny, było pełno błota na kurytarzu, którędy lud do kościoła wchodził. Czekam na księdza przeora, bo mu miałem służyć do Mszy. Nareszcie ksiądz przeor wchodzi do zakrystyi, a ja cały bęc w błoto, ażgo dobrze obryzgałem, a siebie całkiem rzadkiem błotem obwalałem.

— Co robisz? — zawołał przestraszony przeor — Ta tu?

— Gdziekolwiek napotkam przełożonego — odrzekłem.

Nic nie mówiąc ksiądz przeor odprawił mszę, ma się rozumieć, że inny mu usługiwał, a ja się przebrałem w inny habit. Po mszy zawołał mię ks. przeor do siebie i tęgą wypalił burę.

Pewnego wieczora w zimie, gdyśmy się razem zgromadzili, było pełno żartów i konceptów, słowem, gwarzyliśmy wesoło. Nagle otwierają się drzwi, wpada zadyszany magister, i wprost ku mnie postępując, z oburzeniem mówi:

— Co to jest za harmider, czego ty gwałtu wołasz i wrzeszczysz na całe gardło że aż po całym, kurytarzu wrzask się rozlega.“ Swiadcząc się kolegami, odpowiadam że tu gwałtu nikt nie woła, tylko żartujemy i głośno się śmiejemy; a że cisza na korytarzu, to też słychać nasz gwar i śmiech.

— Cicho bądź ty niedowiarku! — krzyknie na mnie. Ty tu najbardziej wrzeszczysz.

— Przepraszam, to nie prawda.

— Milczeć i iść spać — krzyknął i wyszedł.

Nuż teraz koledzy w śmiech, drwią ze mnie i pobudzają do gniewu.

— Ha, ty stary mnichu — krzyknąłem.“ Patrzcie, nie miał się kogo czepić, tylko mnie; zapewne będzie skarzył przed przeorem, gdy nadjedzie w sobotę. Aby więc miał już na co się skarzyć, jak huknę: — „gwałtu!“ — jak zacznę butem bić w drzwi, koledzy ledwo nie popękali ze śmiechu i przewracali się po łóżkach.

Stary magister wstał z łóżka i przyszedł do drzwi, aleśmy zamknęli i nie puścili go, tylko za drzwiami łajał i groził; a gdy widział, że nic nie poradzi, powrócił do łoża.

Nazajutrz słuszną odebrałem karę: areszt i prawdziwe męki Tantala, bo w refektarzu musiałem przesiedzieć przy przewróconym talerzu i patrzeć jak inni jedli, a ja pościłem. Fantazya kazała mi pójść do miasta, bo jakoś furta nie była zamknięta, i tam dopiero u żyda zjadłem jajecznicę, zapijając piwem. Wróciwszy do klasztoru niepostrzeżony, dowiedziałem się o burzy grożącej mi ze strony mnichów. Była rada z kolegami, aby pójść i przeprosić księdza magistra, przyrzec poprawę i zaniechać wszelkich wybryków, słowem, przemienić się z wesołego, otwartego i szczerego, w skrytego i obłudnego mnicha, co nie było w moim charakterze

roczną pensyą dwudziestu czterech tysięcy złp., pułk gwardyi dla siebie i płacę 18.000 złp., brygadę konnicy dla jednego z swych synów i zapłatę osiemnaście tysięcy sześćset dukatów, pułk piechoty dla drugiego syna, a w końcu wielką buławę hetmańską. Chciałem go zamianować marszałkiem sejmu, lecz postawił w nagrodę zbyt wysoką cenę, żądał bowiem zapłaty długów swoich, które wynosiły około trzydziestu tysięcy dukatów.“

Wiadomo z historyi, że obaj ci dygnitarze zostali przez lud polski jako zdrajcy ojczyzny powieszeni w 1794 r.

Dalej widzimy w Pamiętniku Siewersa:

„Bieliński, marszałek sejmowy, pobierał miesięcznie tysiąc dukatów. Otrzymał on przed otwarciem sejmu dwa tysiące dwieście dukatów.

Hrabia Ankwicz i Miączyński mieli po tysiąc pięćset dukatów miesięcznie; pierwszy oprócz tego za wybór jego 300 a drugi 1.500 dukatów. Zdał on rachunek z pieniędzy, które brał i za nowiny, jakich dostarczał.“

Wiadomo z historyi, że Ankwicz został także przez lud, jako zdrajca powieszony. A był najzdolniejszy i najzuchwalszy ze wszystkich. Stojąc pod szubienicą, nie stracił pańskiej fantazyi (powiada jeden z historyków), dobył złotej tabakiery z kieszeni, zażył tabaki i oddał ją katowi, mówiąc: „Weź, a nie męcz mnie długo“.

Dalej czytamy w wyżej wymienionym dzienniku:

„Kasztelan Ossoliński za pośrednictwem marszałka Raczyńskiego odebrał pięćset dukatow.

Książe Poniński pobierał więcej nieco jak pensya jego wynosiła. Służył on wielce pożytecznie z swym synem Aleksandrem, który otrzymał po pięćset dukatów.

Biskupowi Kossakowskiemu doręczyłem cztery tysiące dukatów za wybory litewskie. Wymagał on odemnie 8.000 dukatów. Ponieważ jednak przez powierzenie mu zarządu dóbr biskupstwa krakowskiego dałem mu sto pięćdziesiąt tysięcy rubli srebrnych rocznego dochodu, sądziłem, że to wystarczy.“

Historycy ówcześni mówią, iż był to człowiek uczony i wielkich zdolności. Potępiał Sejm czteroletni i z przysięgi na konstytucyę 3. Maja rozwiązywał. Podobnież jak inni jego spólnicy został powieszony po zdjęciu święcenia, dopełnionem przez biskupa Malinowskiego.

Dalej Siewers pisze:

„Marszałek Raczyński brał po tysiąc pięćset dukatów gratyfikacyi przed sejmem i po sejmie. Niektórzy posłowie po 10, 20 30 i 50 dukatów za głosy. Nadto dziewiętnastu pobierało stałe pensye“. Tu Siewers wymienia nazwiska).

„Król oprócz dwudziestu tysięcy dukatów na podróż z Warszawy do Grodna, pobierał od września po trzy tysiące dukatów.

„St. Załuski otrzymał dwa tysiace pięćset dukatów. Poseł Podhorski osiemset, Bieliński itd. Panie różne otrzymały sekretne prezenta etc. etc.“

Siewers pisał do ministra Lubowa: „Naród polski przez przekupstwo i przemoc w obcem jarzmie chodzący, chciał jeszcze pozory wolności ocalić. Będę musiał jakich stu posłów żywić wozić i opłacać. U tego narodu uczciwość chyba tylko w chacie wieśniaczej“.

Do córki zaś pisząc o magnatach polskich i posłach, których przekupywał, tak się wyraził: „Te łotry jeszcze grają komedyę patryotów.“

Wszystko to przychodzi na myśl przy czytaniu wychodzącego we Lwowie „Przeglądu“ i spólnika jego „Czasu“, który go chwali i proteguje.

Kijów, będący na krańcach ziemi naszej, może mieć dzienniki lwowskie i krakowskie. Przychodzi to nam tem łatwiej, iż rossyjskie gazety cytują galicyjskie czasopisma, z których ważniejsze, redaktorowie obowiązani nawet są wypisywać. Słów nie znajdują na pochwały „Przeglądu“ i „Czasu“. Ztąd też dowiedzieliśmy się o założeniu nowego czasopisma we Lwowie i staraliśmy się dostać numera tego dziennika. Odtąd, po przeczytaniu ich uczciwszym Moskalom, kolegom, w oczy spojrzeć nie śmiemy. Jesteśmy ich pośmiewiskiem; zmuszeni jesteśmy słuchać szyderstw obelgi, miotanych na naród nasz. Nie wiemy jak się bronić? co mówić? „Wot waszi gietmany, waszi wielmoży! wot waszi szlachticzi!“ wołają do nas. Rozeszła się tu bowiem pogłoska (nie wiem czy prawdziwa?), że ów „Przegląd“ założony przez magnatów Galicyi, mających dobra na Wołyniu, Podolu i w Królestwie. Jeden więc z kolegów naszych, Moskal, przyniósł nam z tego powodu przytoczony wyżej Pamiętnik Siewersa. Spiewają nam z ironią: Jeszcze Polska nie zginęła.“ Inny słysząc to, podchwycił te słowa, śpiewając: „Nie zginęła, ale zgniła.“ Wyobraźcie sobie co się z nami dzieje!

Inny znowu odezwał się do nas; „Tak cztoż wy kryczicie na nasze „Nowoje Wremia“, że jest polakożercze! Wasze krakowskoje Wremia nie lepsze. Moskale nazywają stańczyków krakowskich: „biełyje tierroristy.“

Zaiste! czarny, przerażający obraz Polski przy końcu zeszłego stulecia niczem jest w porównaniu z upodleniem, które narodziło „Przegląd“. Nie znajdujemy przykładu w dziejach, aby w jakim narodzie po tylu klęskach i bohaterskich czynach zjawiła się partja tak moralnie i narodowo zepsuta, jak owa partja, która wydaje pismo z tak potwornemi zasadami, z tak cynicznem zuchwalstwem i z tak piekielnym celem. Już pierwsze numera „Przeglądu“ zapowiedziałydokąd dąży, lecz numer dziewiąty przewyższył wszystko, co tylko wyuzdana namiętność, nie oglądająca się na nic, wymyśleć mogła.

Nie obwiniamy redaktorów tego dziennika. Ludzi źli, przewrotni, przedajni znajdą się wszędzie. Byli i będą po wszystkie czasy. Ale jak mogą wspierać to pismo ci, którzy się pysznią zasługami przodków, którzy się mienią arystokratami, przewódzcami narodu?! Wyobraźmy sobie, coby się działo, gdyby podobny dziennik zjawił się podczas jakiej rewolucyi! Propagowane przez „Przegląd“ a rozsiewane przez „Czas“ ku pomocy, zasady, to nie zdrada, to nie same tylko odstępstwo, lecz coś więcej jeszcze! Jest to jakaś chorobliwa manja, aberacja, wzbudzająca może nie tyle oburzenie i wstręt, ile litość, jakiś głęboki smutek, że na ziemi, gdzie jest wolność słowa, może być tak straszne nadużycie darów Bożych: człowieczej myśli człowieczej mowy! Do zwolenników takich zasad mówił Zyg. Krasiński: „Wy na podłość chorzy“.

Wiemy o tem, że redaktorowie lwowskich dzienników energicznie wystąpili przeciw „Przeglądowi“; Należy się im za, to uznanie zwłaszcza, że z dziennikiem pozbawionym sumienia i wstydu przykro polemizować.

Wreszcie jak polemizować z nieukami, którzy wyobrażają sobie, że coś umieją, a pojęcia nie mają ani o historyi polskiej, ani o stosunkach naszych wewnętrznych pod zaborem moskiewskim, ani o naturze Moskali i dążnościach moskiewskiego rządu, który bądź co bądź, chce nas wyniszczyć, a gorszym jest od najskrajniejszych nihilistów, anarchistów itp.!? Na wszystko „Przegląd“ znalazł już i jeszcze znajdzie gotową odpowiedź; a nie wie tego, że słowo w słowo powtarza szumne frazesy o „rozumnej polityce“, o „sentymentalizmie“, o „praktyczności“, o „zgodzie z silną potencyą“, o „poroznmieniu się“, itd., jakich tysiące sypały się z ust i z pod pióra zaprzedanych Rosyi Polaków podczas rozbioru Polski. Dość jest przejrzeć ówczesne akta sejmowe i broszury; dość nakoniec przeczytać Kraszewskiego „Polskę w czasie trzech rozbiorów“ z najautentyczniejszych dokumentów i pamiętników spisaną. Kogoż więc myślą oszukiwać zwolennicy teoryi, głoszonej w „Przeglądzie“ i pokrewnych mu dziennikach, do których na pierwszym miejscu zalicza się także petersburski „Kraj“! Więcej oni nam szkodzą niż Katkowy i Suworiny.

Ale cóż robi profesor Tarnowski, autor „Królowej opinji“, który przed kilku laty, tak siarczyście wystąpił przeciw „Gazecie narodowej“, przeciw „Dziennikowi pols.“ przeciw „Ruchowi literackiemu“, przeciw lwowskiemn dziennikarstwu ówczesnemu! Czemu teraz nie rozbudzi opinii publicznej? Czy uważa, że to nie jest zuchwałą propaganda demoralizacyi najstraszniejszej, zbrodni najobrzydliwszej? Co robi Akademia, „strażnik ducha narodowego“? Biada, biada nam, jeżeli tolerować będziemy zepsucia!

Od chwili pojawienia się ohydnej pamięci „Tek Stańczyka“ aż dotąd, widzimy szeregi brudnych elukubracyj, pod któremi śmiało podpisałby się najzajadlejszy wróg Polski. Targowiczanie nazywali Katarzynę „boską“. Po śmierci Aleksandra I., który nasłał na Polskę takich tygrysów, jak W. książe Konstanty, Nowosilców, a tysiące dziesięcioletnich i dwunastoletnich dzieci więził lub „w kantonisty“ wysyłał, po śmierci tego chytrego tyrana, który pastwił się nad ludźmi rękami Arakczejewa, arystokratki Polki nosiły żałobne bransoletki z napisem: „Notre ange est au ciel“, a byli tacy Polacy, co śpiewali na cześć jego hymny pochwalne. Mikołaja, który miliony Polaków wymordował lub wyniszczył i wyzuł z własności, tak zwana „historyczna szkoła krakowska“ nazwała „człowiekiem dobrych chęci“; a na grobie jednego z założycieli tej szkoły, koryfeusz krakowski, przewodnik młodzieży, profesor Uniwersytetu, sekretarz Akademji pod przewodnictwem weterana z 1831 r., powiedział: „Łatwiej morze dłonią wyczerpać, niż wyliczyć jego zasługi.“ Krakowskie stronnictwo „zacząwszy od gaszenia szlachetnego zapału patryotyzmu, od poniewierania najznakomitszych poetów, od wyszydzenia poezyi, demoralizowało młodzież, fałszowało historyę, po-

---

ani w mojej naturze. Poszedłem z poczciwym ks. Wogtem do księdza magistra, ucałowałem mu ręce i przeprosiłem. Po wielu gadu gadu, udobruchał się magister tak dalece, iż zmiękł i częstował nas starym miodkiem, przyrzekając nic nie wspomnieć o tej awanturze księdzu przeorowi. Ale gdzietam, ledwie ks. przeor przyjechał, już mu drudzy wszystko opowiedzieli. Był i gniewny i śmiał się, gdy mu opowiedziano całą awanturę. Przywoławszy nas wszystkich, zburczał, szczególniej moje zachowanie się i groził ekskluzyą. Koledzy wyszedłszy, kazali mi wrócić i przeprosić księdza przeora. Wróciłem, przeprosiłem, przyrzekając poprawę. Jakoż przestałem od tego czasu płatać figle i być wesołym.

Czas wolny przepędzałem w bibliotece czytając kroniki lub przepisując słownik francusko-polski. Czasem dostało się niektórym znowu książka, jak np. „Dziady“, „Lamene“ i t. p., srodze zakazane, któremi pokrzepialiśmy niedołężny nasz patryotyzm i miłość ku ojczyźnie. Inni, szczególniej górale, kopcili tytoń paskudny i leżeli jak się mówi na zgiłej skórze, nic zgoła nie czytając. Stałem się wprawdzie nieco spokojuiejszym i skrytszym, zajęty pracą umysłową nie przepędzałem czasu na próżniactwie, mianowicie, gdy nam nakazano miewać w kościele nauki. Już zdecydowałem się zostać w zakonie, gdy w tem okoliczność jedna, tj. obłąkanie poczciwego księdza Karola Krzysiaka, mocno mię wzruszyło i do wystąpienia z zakonu zniewoliło.

Rzecz miała się tak: Przy parafii w Podkamieniu było dwóch młodszych kapłanów: ksiądz Gwiazdoń i Ks. Karol. Tamten zły jak szatan, bezczelny i rozpustnik bez czci i wiary, powszechnie niecierpiany od wszystkich, bo był jako kapłan i człowiek bez hamulca. Prowadził życie tak gorszące, że nawet o nim pisać niepodobna. Dopuszczał się szkaradnych czynów. A że nie miał miru, zazdrościł go swojemu koledze, ks. Karolowi, używającemu powszechnie szacunku, nietylko jako ksiądz, ale jako człowiek. Ten ksiądz Karol miał zwyczaj przychodzić do nowicyuszów i baraszkować to o tem to owem, a nieraz nas poczęstował nawet piwem. Lecz nękany i napastowany przez Gwiazdonia i innych kilku jemu podobnych mnichów, osłabł na duchu i zaczął szukać w kieliszku pociechy.

Pewnego razu słyszymy hałas na kurytarzu: „wiązać! wiązać! — wrzeszczy wściekły z gniewu ks. Gwiazdoń i już kilku parobków przybliżyło się z powrozami do ks. Karola, by go rzeczywiście związać. Wylecieliśmy na ten wrzask z naszych cel i dalejże do parobków, oswobodzając nieszczęśliwego. A dostało się nie mało słów księdzu Gwiazdoniowi, który do ostatniego kroku zapalczywość swoją posunął. Nieszczędziłem mu i ja najostrzejszych słów. Naturalnie, zyskałem w nim zaciętego wroga i napastnika.

Prześladowanie ks. Karola dochodziło do ostatnich granic, a tak było ohydne, że musiało się skończyć katastrofą. Zbliżał się wielki odpust na Zielone święta. Ks. Karol miał mieć kazanie, jako najlepszy kaznodzieja. Ks. Gwiazdoń porwał mu to kazanie i zniszczył. Już ostatni dzień, sobota, a tu nie ma się z czego kazania nauczyć, by nazajutrz wystapić wobec wielkiej rzeszy. Biedny ks. Karol zmartwił się tem okropnie, bo nie miał odwagi iść na kazalnicę bez przygotowania, i musiał go zastąpić ks. przeor. Podczas obiadu, gdy goście pozasiadali do stołu i lud się nieco ustąpił, usłyszeliśmy okropny wrzask na kurytarzu. Wybiegamy wszyscy i jakiż straszny widok przedstawia się naszym oczom: Ks. Karol z obłąkanem okiem, z wykrzywioną gębą, uchwycił się wielkiego krzyża na kurytarzu, wzywając głosem do dreszczu przejmującym Pana Jezusa — „zmiłuj się Jezu, zmiłuj się nademną!“ Odprowadzono go do łoża, lekarz puścił mu krew, a w trzech dniach nie było już księdza Karola.

Ten straszny wypadek wzruszył mnie całego przeraził, a tak samo kilku kolegów. Otóż mówiliśmy, co to może złość i szatańska zazdrość sprawić nawet w klasztorze. Równy równemu, brat zakonny bratu, może bezkarnie zatruć życie i wydrzeć mu je. „Ratuj się kto możesz zawczasu i uciekaj z tego zamtura“ zawołałem, a naradziwszy się z towarzyszami, postanowiliśmy zrzucić szaty zakonne. Ja miałem zrobić początek, a za nmą poszło dziesięciu towarzyszy. Jedni z nich zajmują dziś inne stanowiska, w urzędach, w klerze, w wojsku, drudzy przepadli.

Nazajutrz poszedłem do księdza przeora, przedłożyłem mu ważne pobudki, które mię zniewalają do wystąpienia z zakonu , a szczególnie śmierć tragiczna księdza Karola, którego lubiał także ks. przeor. Nareszcie dodałem, że to jest próba i nowicyat, abyśmy się przekonali zawczasu, czyli każdy może odpowiedzieć godnie ciężkim obowiązkom zakonnika.

Słusznie mówisz, odrzekł ks. przeor, nie gniewam się na ciebie, i owszem, uznaję za dobre, że teraz póki czas zwlekasz suknie zakonne, niżbyś miał później narzekać i stać się z rozpaczy zakałą naszego stanu zakonnego.

Jesteś jeszcze młody, masz otwarte pole, jedź gdzie chcesz, niech cię Bóg błogosławi!

Zalałem się łzami i gorącymi pocałunkami ręce jego pokrywałem. I jemu stanęły łzy w oczach bo to był godny i czuły kapłan. patryota, który później wiele cierpiał dla tej miłości ojczyzny. Był to sławny prowjncyał, ks. Piotr Korotkiewicz;

twarzało literaturę narodową, czerniło własnych ojców i dziadów, tępiło miłość ojczyzny, propagowało serwilizm, zachęcało przykładem własnym do płaszczenia się przed mocniejszymi, wzniecało niezgody, szerzyło rozdwojenie, intrygi, krzewiło zgniliznę i śmierć, dowodziło, że między milionami bohaterów naszych nie było dziesięciu ludzi rozumnych i zacnych wiekopomne legjony nasze nazywało najemnikami, kondotjerami, bryzgało błotem pogardy i nienawiści, na najwznioślejsze porywy zrozpaczonego narodu, na mogiły męczenników"... Któż zliczy wszystko, co wyszło z pod ich pióra!?...

A dziś, kapłan polski, przedstawiciel religji prześladowanej gorzej niż za Nerona, autor „Sejmu czteroletniego" umiejący tylko wyciągać z błota brudy, a nie widzący najcenniejszych dyamentów w dziejach naszych, nazwany jednak przez ciemnych i nieuków „jednym z najznakomitszych historyków" jeździ od Krakowa do Poznania ze z pochwałami jenerała Sowińskiego, albo Juliusza Małachowskiego, albo Sierakowskich i tysiąca podobnych, ale wielbiąc tego, który przeszedł zbrojno na ziemię pruską, mogąc bić się jeszcze! Niedawno w Akademii krakowskiej, na pełnem zebraniu, w obec uczonych różnych gałęzi, ten znakomity historyk" dowodził szeroce, jakim sposobem „rosły się porąbane członki świętego Stanisława Szczepanowskiego; teraz rozszerza ciemnotę w innym kierunku, fałszuje znowu historyę, demoralizuje młodzież.

I zjawia się nowy organ stronnictwa krakowskiego, pod jego protekcyą, pod jego kierunkiem! Gdzież jest „królowa opinia"? Niestety pod tym względem, chyba w Galicyi i w Krakowie b e z k r ó l e w i e!

Gdyby nie protesty dzienników przeciw „Przeglądowi" mniemalibyśmy, że opinia w publiczności polskiej upadła zupełnie. Faktem jest, że takie czasopisma jak „Kraj", który dowodzi, że Ruś galicyjska a Wielko-Rosya to jedno, a Czuchoniec i Mongoł to jedno co Słowinin — faktem jest, że takie czasopisma jak „Przegląd" istnieją!

Więc cóż dziwnego, że Polacy tak skorymi są do pomawiania o zdradę każdego, kto razi uczucie narodowe i prawdę? Któż ich rozjątrza?

Wyręczył opinię społeczności polskiej pewien wysoko położony urzędnik rosyjski, fanatycznie nienawidzący Polaków, mówiąc: „Wszystkich dzienników polskich, zwłaszcza galicyjskich nie cierpię, a „Przeglądem" pogardzam". Czy tego powiedzenia nie zastosują do całego stronnictwa?!

Może jakiś nowy Siewers zapisuje już w tej chwili w pamiętniku swoim te słowa: „I stańczyki grają jeszcze komedyę patryotów!"

*Kijów 1885 r.*

## Kraków II. Listopada 1885.

(Stańczycy. — Bicz, paszkwil krakowski. — Teatr krakowski. — P. M. S........ — O Filaretach. — P. Rappaport, poseł izby handlowej z Krakowa. — Pierwszy burmistrz autonomiczny Krakowa J. Dietl).

Nasi gasiciele narodowego pożaru, odznaczyli się niedawno nowym faktem, wyraźnie markującym ich politykę, nazwaną polityką „kurtuazyi", przez posła Zatorskiego, przy zdawaniu sprawy z czynności poselskich. Wiadomo, że dyskusya nad adresem wywołała niepospolitą burzę w łonie Rady państwa, głównie skierowaną przeciw hr. Taaffemu przez stronnictwo centralistyczne. Pomni tego, że wszelkie interpelacye, pochodzące z Koła polskiego, mogłyby pewne trudności rządowi przysporzyć, nasza Reprezentacya wystosowała w sprawie wydaleń z pruskiego zaboru interpelacyę, a właściwie delikatne zapytanie, bez najmniejszej barwy, lękając się rządowi w trudnem położeniu znajdującemu się, „przysporzyć trudności". *Czas* nasz krakowski nazwał taką politykę jak najsłuszniejszą, jak najrozumniejszą. Więc w sprawie, w której Polacy, używający jakich takich swobód autonomicznych, powinni byli najmocniej zamanifestować swój protest, przeciw pogwałceniu międzynarodowego prawa, reprezentanci ich w parlamencie okazali niemożna większej uniżoności, większego schlebiania rządowi, większej „kurtuazyi". Interesa nasze narodowe podporządkowywane bywają bezustannie pod względ takiej błahej natury, jaką jest bojaźń o przysporzenie kłopotów rządowi. Nie zapomnijcie, że taka polityka prowadzi się ciągle, podsycana przez krakowskich polityków z uszczerbkiem interesów krajowych, z uszczerbkiem nawet naszej godności narodowej. Jakże nasze dzienniki opozycyjne zapatrują się na sposób traktowania spraw krajowych? Jakie stanowisko zajęły w tej sprawie nasze Timesy w ogóle? Sprawa ta jak wszystkie inne przeszła zaledwie dotknięta, zaznaczona w ich łamach jako fakt dzienny. Nie zwróciły one uwagi na ten szkodliwy prąd idący z Krakowa, od ligi konserwatywnej. Kto patrzy na miejscu, ten widzi, że jest zanadto wielkie przecenienie sił i wpływu wstecznego towarzystwa, osłoniętego powagą naszej A l m a e  m a t r i s i zwolenników krakowskiego *Czasu*. Gdybyśmy poznali bliżej tych panów, noszących dzwoneczki, nie bylibyśmy tak bardzo pochopni do przyznania im wielkiej powagi i znaczenia. Pozostał jeszcze urok ich po rządach hr. Al. Potockiego. Dziś stańczycy złożeni są po większej części z hrabiów, kilku profesorów i z mnóstwa niedouków, bijących czołem przed możnymi. Prawdziwe towarzystwo wzajemnej pomocy, moralnej i materyalnej, wzajemnej czołobitności, adoracyi i lokajstwa.

Macie zresztą dowód jawny w wychodzącem piśmidle p. t. *Bicz*, które chce gwałtem być humorystycznem, jak gdyby humorystyka sypała się z rękawa. Ów paszkwil, mierzony przeciw postępowym t r o m t a d r a t o m, redagowany jest przez stańczykowskie powagi, co nie przeszkadza, że nigdy pod słońcem nie było jeszcze głupszego pisma pseudo satyrycznego. Pomijam jednak główne pobudki, które kierowały założycielami, ale gdyby takie pomiędzy nimi były zdolności, o jakich bezustannie rozprawiają, mogliby byli coś lepszego stworzyć. Owe wielkie powagi nauki i owe zdolności nadzwyczajne wylęgły się tylko w łamach naszego *Czasu*.

W taki też sposób p. Koźmian wyszedł na najzdolniejszego artystycznego kierownika polskiego teatru. *Czas* krakowski, jego organ i filje jego *Słowo* warszawskie i *Przegląd* lwowski, zrobiły z człowieka nieposiadającego najmniejszych zdolności krytycznych, największego znawcę sceny. Zrobiły go przytem wielkim miłośnikiem polskiej sceny, gdy wiadomo, że prowadząc długi czas krakowską scenę, dał dowód wielkiej nieznajomości rzeczy i wielkiego braku patryotyzmu.

Odegrał on zabawną komedyę przy odstąpieniu dyrekcyi innym ludziom, przypominającą ową bajkę o łzach krokodylowych. Obecna dyrekcya Sarnecki-Glickson może pójdzie, mamy nadzieję, lepszą drogą, ale na to potrzeba z ich strony wiele pracy i wiele poświęcenia. O tej nowej dyrekcyi naszego krakowskiego teatru przyjdzie nieraz nam pomówić.

Skandaliczna kronika krakowskiego bruku, dziś zapisuje fakt żywo wszystkich interesujący. Głoszą po mieście, że p. M. S., dyrektor muzeum ks. Czartoryskiego, miał nieszczęśliwy wypadek. Mówią, jakoby obca ręka przylegla do jego szanownego oblicza. Ile w tem prawdy, co głosi brukowa kronika, dowiedzieć się trudno, bo miało się to odbyć w muzeum przy zamkniętych drzwiach. Mówią więc, że niejaki p. R., ongi redaktor *Przedświtu* w Czerniowcach, przyszedł do muzeum oddać książkę, którą przypadkiem zabrał ze swojemi. Woźny odesłał go do p. S. który zelżył podobno p. R. słowami, a ten odpowiedział mu czynnie. Ile usprawiedliwia ten postępek p. R. zelżonego, w to niewchodzimy, jednakże dodać muszę, p. M. S. zkąd inąd poważny profesor, znany jest tutaj jako wielki arogant i nie jeden nawet stańczyk cieszy się, że tą awanturą otrzymał pewną nauczkę, która dla niego może być zbawienną w przyszłości. Rzecz podobno poszła na drogę sądową.

Nasi F i l a r e c i, „gwiazdkowi akademicy" jak ich tu nazywają, także są na porządku dziennym. Przeszłego roku zawiązało się tu pewne kółko młodzieży uniwersyteckiej, mającej na celu oderwanie się od ogólnego stowarzyszenia „Czytelni akademickiej".

Z początku miał p. St. Tarnowski być przeciwnym oderwaniu się młodzieży od ogólnego stowarzyszenia, ale nie posądzamy szan. sekretarza akademii Umiejętności o tak zacne zamiary. Sądzimy, że był to manewr zręczny z jego strony, bo gdy niedawno temu F i l a r e c i mieli się rozwiązać, on jeden utrzymał Stowarzyszenie namową i wpływem. Dziś owi Filareci, których nazwa jest profanacyą dawnego patryotycznego Tow., składają się z paniczów grywających w bilard w swym kasynie i nie mających nic wspólnego ze sprawami młodzieży akademickiej, chyba to, że oderwali się od niej, aby stanowić pepinierkę przyszłych stańczyków. Liczba tych gwiazdkowych dochodzi do 90 a ich prezesem młodzieniec, wcale niemogący

---

o nim będę jeszcze później mówił. Za kilka dni złożyło jeszcze dwóch suknie zakonne i czekaliśmy stósownej chwili do wyjazdu. W czerwcu po św. Piotrze i Pawle, gdy ks. Egidyusz Woyta złożył ślub zakonny i miał być wysłany do Lwowa i my z nim, pożegnawszy się z ks. przeorem i z innymi towarzyszami, wyruszyli przez wsie do klasztoru należące, do Lwowa, słuchając po drodze w folwarkach zakonnych niemiłe przycinki, że my bańki mydlane, krusi jak szkło, które przycinki trzeba było znieść bez wymówki.

Przyjechawszy do Lwowa, bez sposobu do życia, ogołocony z bielizny, z sukien, bez grosza, byłem nędznym żebrakiem; gdyby nie opatrzność w osobie księdza Egidyusza Woyty — Czecha, ale z złotem sercem człowieka, który znał biedę i umiał się nad nią litować. W nim dała mi opatrzność opiekuna, bez którego byłbym z nędzy, zginął na bruku miasta. Otóż ten poczciwy kapłan umieścił mię przy sobie tymczasem i żywił, dzieląc się ze mną strawą klasztorną, prowadząc mię radą swoją, chcąc wyrwać od zguby.

Lecz jak wszędzie tak i tu nadstawił mi czart rogów: Dwaj zawistni mnisi, ludzie nałogowi, najgorszych obyczajów, zajadając w klasztorze tłuste pieczenie, które im polacy piekli, rzucili się na mnie pewnego razu w kurytarzu, a schwyciwszy za kołnierz pytali: „co ja tu robię, czego tu chcę? kiedym wystąpił, to mi zasie od klasztoru i jeżeli mię tu jeszcze raz chwycą, to oddadzą do policyi." Milczeniem i wzgardą odpłaciłem ich napaść. Był to przeor zakonu ks. Ż a a k Czech i jemu podobny H a u s m a n n także Czech. Oby im Bóg tego niepamiętał. Niemając przystępu do klasztoru, bo zakazano surowo furtyanowi wpuszczać mnie, a nawet ks. przeor z latarnią chodząc, szukał mnie po celach, czy gdzie nie nocuję, przychodziłem do izby furtyana, którego poczciwy ksiądz Egidyusz uprosił i tam potajemnie żywiłem się, a spałem w stajni, razem z poczciwym woźnicą klasztornym.

Nadzieja moja sięgała najwyższego szczytu. Bóg mię doświadczał, czyli zemnie będzie jeszcze jakie naczynie zdatne do Jego służby. Tak opuszczony, przez dwa tygodnie klęczałem pod krzyżem Jezusa Pana w kościele dominikańskim, błagając o pomoc i natchnienie, co z sobą rozpocząć dalej.

Jak z twardej skały nie wydobędziesz kropelkę wody, tak nie można było mimo zabiegów różnych osób dostać się na wieś na nauczyciela. Każdy spojrzawszy na moje suknie i wynędzniałą twarz, odprawiał słodziutkiemi jak lukrecya słówkami.

Wreszcie ułożyłem sobie plan, udać się jeszcze raz do szkół, ale gdzie? — oto do Czerniowiec na Bukowinę. Ale o czem? Jak odbyć tę 30 miliową przestrzeń, nie mając nawet dobrych butów?

Mój poczciwy ks. Egidyusz, ten anioł stróż mej ziemskiej pielgrzymki, pochwalił mój zamiar i na dowód szczerej przyjaźni, zastawił swój płaszcz, udzielając mi 2 fl. k. m na drogę. Nie z taką serdeczną wdzięcznością błogosławi żebrak magnata gdy mu hojną udzieli jałmużnę, jak ja błogosławiłem mego księdza Egidyusza, który z takiem poświęceniem dał mi tę jałmużnę na drogę.

Pomodliwszy się szczerze Bogu i podziękowawszy za takiego przyjaciela, pożegnałem się z płaczem z moim dobrodziejem. Przysiadłem się obok innych jadących do Czerniowiec żydów i ruszyłem w drogę. Oddawszy się Bogu w opiekę, stanąłem dnia piątego w tem mieście. Zapłaciwszy resztę żydkowi za furmankę, która kosztowała 5 cwancygierów i za noclegi, a osobliwie ostatni w Czerniowcach, zostałem goły jak turecki święty, bez przyjaciół, bez grosza, bez widoków na jutro, ale nie bez — Boga. (C. d. n.)

## W Pochód.

(Dumka śpiewana nie zbyt dawno przy teorbanie i czaju przez byłego atamana kozaków dońskich w pewnem kółku moskalofilów polskich, rozkosznie pod panowaniem cara pielęgnujących mózg, żołądek i wątrobę).

— „W pochód! w pochód! (kozak woła)
Buntownicze polskie plemię,
Pierwszy mależyk ten u czoła —
Hej! on czarną gryzie ziemię"...

— „Matka ziemia — (lachy gwarzą,)
Rada przyjmie cię matuszka" —
— „Skaż, jak w moskwie bunty karzą
Kopę kijów wziął batiuszka. —

Ani jękło młode lasze...
Rzekłbyś z drewna, lub ze stali...
Aż padł cicho jak to ptaszę...
Gdy do sztaby przykuwali.

Naprzód pałka ogolona —
Ha kapucyn patryota...
Siwa głowa zapalona,
Zemstę jakąś na wąs mota.

Ej te rządy narodowe —
Chorągiewki i oddziały,
Ozdobiły siwą głowę
W piętno zbrodni przez wierzch pały.

Cały Irtysz — złote łany,
Za twą celkę dam ci popie —
Za śpiew mniszy — huragany,
Chléb wygnania — grób w przekopie."

— „Nie warcz — nie mrucz b
Iwan płazuj baby, dzieci —

być posądzony o to, aby jaki impuls mógł dać w jakimkolwiek kierunku pozłoconej młodzieży, bawiącej się w sposób wzbudzający tylko litość, gdyby nie ich arogancya, przyswajająca nazwę, która do świętej historyi narodu należy.

Z Izby handlowej krakowskiej wyszedł do Sejmu p. Rappaport, którego forytowali jego koledzy izraelici, u których p. R. używa wysokiej opinii z powodu energii swojej. P. R. usłużny i czynny w sprawach Izby handlowej, wybrany był także dla tego przez kolegów, że chcieli przeforsować silną rządową agitacyę.

Kończąc dzisiejszą moją korespondencyę, wspomnę o fakcie nieporuszonym w żadnym tutejszym dzienniku. Że *Czas* nie o tem nie napisał, to nikogo nie dziwi. Rzecz jest następująca: Pierwszym autonomicznym burmistrzem miasta Krakowa był Józef Dietl, człowiek wielkiej prawości, zacności i zdolności. Do dziś dnia magistrat dzisiejszy, we wszystkich sprawach, posiłkuje się wiedzą zmarłego Dietla. Dietl nie pobierał pensyi, bo choć jak wówczas przeznaczone miał 1000 złr., gdy dzisiaj burmistrz pobiera 6000 złr., to Dietl gdy mu przynoszono pensyę, rok rocznie zakładał fundacye dla rzemieślników lub innych potrzebujących, które do dziś dnia istnieją. Tego szanownego męża więc przedwcześnie dla miasta zgasłego, należało uczcić pamięć. Gdy w dzień zaduszny komedye wyprawiano na cmentarzu nad grobem każdego stańczykowskiego lokaja, grób Dietla został pominięty, bo Dietl nie był stańczykiem. Ten fakt ilustruje dobrze stosunki krakowskie.

## Odprawa żółtodzióbkowi.

Ktoby zechciał głębiej zajrzeć do tajników redakcyjnych naszych „Timesów" nadpełtwiańskich, tenby się zdumiał zaiste, z jakich to sił umysłowych składają się te ogniska opinii publicznej. Niepytaj tam o wykształcenie naukowe, a tem mniej o uzdolnienie dziennikarskie. Jest tam jeden lub dwa zaiste „woły robocze" — i na tych polega cała redakcya. Jeżeli się ktoś nawet odpowiednio przygotowany w to jarzmo zaciąga, to go niezawodnie zmusiła do tego ostateczność; gdyż niedosyć, że zmuszony jest uczynić rozbrat z zasadami i zgrzytając nawet zębami, pisać, co taki najczystszej wody „handeles" szef każe, ale w dodatku musi się uzbroić w martwotę, pod względem godności dziennikarskiej, w redakcyi, która się składa z rozmaitych osobników, nie mających często nietylko najmniejszego pojęcia o jakimkolwiek dziale pisma, ale arogancyą swoją, idyotyzmem, zmusza rumienić się na każdym kroku. Szczególniej okazy niektóre reporterów i wrzekomych sprawozdawców stają niżej żaków szkolnych, których pojęcie, po nad tak zwaną „sztubę" nie sięga. Niech jednak nikt nie myśli, aby taki reporter żenował „pana szefa", redaktora-właściciela Timesa. Jego to nic nie obchodzi, czy pismo jest zapełnione chociażby największemi bredniami, byle tylko na pierwszych piętrach łamów dziennika, spełnioną była jego lokajska służba wiernie, względem tych, na których żołdzie stoi. Po zatem, nożyczki wycinające na oślep, lub w oryginale wierzgający idyotyzm, wystarcza zupełnie, byle tylko jak najmniej kosztowała. „Jaka płaca, taka praca" i takich się też przyjmuje reporterów. Takiemi to siłami świeci szczególniej *Dziennik polski*, gdzie idyotyzm, arogancya, długi czas wprawiała czytających to pismo w dobry humor, ale w końcu zaczyna na seryo oburzać.

Od pewnego czasu taki „żółtodzióbek", który szczególną passyą zapałał do nowo ulęgłego małpiątka w wędrownej menażeryi, gdzieś tam na placu czy ulicy Słonecznej, w taką szczególną przyjaźń wszedł ze zbankrutowanym Niemcem, iż postanowił zaopiekować się nim wspólce z pewnym znakomitym filantopem, opiekującym się zwierzętami, aby miasto stante pede zakupiło menażeryę i uratowało Niemca wraz ze zwierzętami od głodowej śmierci, zakładając zbiór zoologiczny żywych tych okazów w powstającym parku stryjskim. Kilkakrotny nacisk i napad na Radę miasta był tak silny ze strony *Dziennika polskiego*, iż tej nie pozostało nic innego, jak sprawę tę wziąść pod obradę, aby jej znowu nie chciano posądzać o zacofanie i brak postępu cywilizacyjnego. A gdy reporter przedstawiał, że tę menażeryę można dostać za „bezcen", „za pół darmo" (z wyjątkiem małpiątka, bo to dla siebie podobno zastrzegł na pamiątkę a to z powodu jakiegoś analogicznego podobieństwa), to i część naszej nielubiącej się zastanawiać publiki, zaczęła za tym projektem gardłować.

Zaczem jednak dalej się rozprawimy z tym idyotyzmem, maniactwem, zapytujemy „żółtodzióbka" reportera i jego pociesznego socyusza, filantropa zwierzącego, czy który z nich, a mianowicie „żółtodzióbek" widział aby raz w życiu ogród zoologiczny? Jeżeli zaś widział, to czy się zastanowił i zbadał, jakie też to warunki pociąga byt takiego zbioru zwierząt z różnych stref kuli ziemskiej?

Żółtodzióbkowi się nie dziwimy, iż mu to nieprzyszło na myśl, ale socyusz jego, podobno znakomitość literacka, na polu piśmiennictwa filantropo - zoologo - ornitologo - ichtiologo - entymologicznem, winien posiadać jakiekolwiek wyobrażenie, jakie środki do ogrodu zoologicznego należą. Inaczej niebyłby zapewne napadał w taki sposób na Radę miasta.

Otóż ta „zacofana" Rada miasta, w żaden sposób niemogła pojąć, jak to w Stryjskim przyszłości parku, można będzie po taniem za bezcen kupnie, sprowadziwszy tamże menażeryę, zmieścić ją w budzie z desek, lub też wypędziwszy z jednego domku służbę ogrodową, umieścić tam te dzikie bestye. Albo nakoniec, użyć na rozwalenie przeznaczonej oranżeryi, aby zadosyć uczynić woli żółtodzióbka i jego socyusza.

Rada, odniosła się po radę i wskazówki nie do „Berlina", jak twierdzi mylnie żółtodzióbek, ale do Wrocławia, a następnie do Poznania, gdzie istnieje najpóźniej założony ogród zoologiczny — i odebrała szczegółowe objaśnienie, oparte na cyfrach, oraz bardzo cenne przestrogi, które nawet najgorętszych zwolenników kupna menażeryi oblały jakby zimną wodą.

Objaśnienia te wykazują, że aczkolwiek kupno menażeryi od Niemca jest rzeczywiście za bezcen, to ta taniość jeszcze nic nie stanowi. Najprzód, jak długo park stryjski nie będzie zaopatrzony w dostatek wody i to obficie, nie będzie zalesiony, aby chociaż część była zakrytą od wichrów, zamieci śnieżnych i zacieniona, o ogrodzie zoologicznym myśleć tam niemożna. Dalej, zwierzyniec taki potrzebuje wielu i kosztownych budynków, bo w ogrodzie zoologicznym niemożna trzymać zwierząt w warunkach menażeryjnych. Lecz i to niedosyć. Zwierzyniec taki potrzebuje nie Niemca menażernika i pierwszych lepszych kilku parobków, ale wykształconego Dyrektora i odpowiednio, fachowo obeznanej służby. A to wszystko razem wymaga tak znacznych sum i nieustających nakładów, że Lwów nie posiada na to środków, mając daleko więcej piękace sprawy, które niecierpią zwłoki. I tak, chociażby tylko nakrycie Pełtwi, o którą Pełtew żółtodziobek równocześnie i tak samo mądrze jak o menażeryę, Radę miasta napada.

Planik ten przed nowymi wyborami, byłby niezły, gdyby był choć cokolwiek mądrzejszy. Nima zapewne obywatela, ktoryby sobie nie życzył, aby Pełtew była jaknajprędzej nakrytą. Dzięki Bogu i Radzie, że już początek zrobiony. Że zaś rozpoczęto tę pracę od ulicy Akademickiej, a nie od Placu Maryackiego, to rzecz względna. Trudno zaś było ciągnąć węzełki, kto ma wprzód przestać wąchać aromaty: czy mieszkańcy ulicy Akademickiej, którzy bezpośrednio do brzegów Pełtwi zbliżeni, czy też mieszkańcy ulicy Karola Ludwika. Zresztą doświadczenie, uczynione na krótszej przestrzeni, także coś warto.

Ale trzeba być rzeczywiście „żółtodzióbkiem" i nic prócz „Lembergu" nie widzieć, aby po zakryciu Pełtwi wzdłuż ulicy Karola Ludwika, chcieć postawić tam „Halle".

Szanowny „żółtodziubku"! racz odpowiedzieć, do jakiego działu zwierząt należą takie Halle, w jakich warunkach i gdzie się w takich miastach jak Lwów takie Halle stawiają? Ot, bratku, zdaje mi się, że lepiej byś zrobił, wracając do sztuby, aniżeli pisał podobne brednie. Jeżeli zaś były to tylko ćwiczenia reporterskie, zadawane przez szefa redaktora ex.........., i ten pozwolił umieszczać takie brednie w *Dzienniku polskim*, to zażądaj od niego zwrotu pieniędzy za czas stracony i idź napowrót do „sztuby". Tymczasem dziobek ci zczernieje i jeszcze może być z ciebie człowiek.

## Polacy na obcych ziemiach.

*Bolonia 1. listopada 1885 r.*

Donoszą nam z Wenecji, iż rodak nasz *Władysław hr. Kulczycki* w ciągu swego prawie trzechmiesięcznego pobytu na lagunie czynił mnogie poszukiwania w tamecznych archiwach, tak rządowych

Ja nie znoszę jęku, krzyku,
Bo to nowy pożar nieci.
A ktoś z tłumu woła: Tato
Brat nasz Tadzio w cytadeli,
W wielkim domu tam za kratą.
Dziś na cmentarz mamę wzięli."
Ha wasz Tadzio spojrzy z góry!
Nim dzień zejdzie z szubienicy,
Ojciec w Sybir — pod figury
Z torbą — mali buntownicy!"
— „Pięść zaciska młode chłopię..
Semen ściągnął mu łańcuchy —
Znaj polaczku moskal kopie,
Lizać stopy wraże duchy!
Za twe dobra i pałace,
Pełne złota dam podziemia —
Młot... katorgę... taczki... prace..;
Lat **dwadzieścia** posielenia.
Tam w katordze raźno bratku
Knut prawdziwie krzepi siły...
Ha! druh wierny, bo w ostatku,
Prędzej wpędzi do mogiły!" —
— "Ktoś się chyli nad takami...
Nuże knutem ściąg leniucha,
Swiecić w ślepie latarkami,
Ej to polak — padł bez ducha...
Ilu zamrze przy pochodzie —
Zrachuj liście — zrachuj kłosy —
Z ran — tęsknoty — w nędzy — chłodzie,
Opuchnięty, **siny**, bosy.
Ten umiera pod knutami,
Tego trują merkuryusze,
Tamten zmiażdżon pod bryłami,
Czart porywa lachów dusze!" —

— „Czy czart — nie wiem — sam widziałem
Laszek upadł, jak kłos ścięty,
Gołąb wzleciał ponad ciałem...
Dońcy szepli: „To Duch święty"! —
W pochód — w pochód — naprzód lachy
Nie mdłeć — nahaj prędko cuci,
Choć nie znacie, co to strachy,
Niech się żaden w tył nie zwróci! —
Wy biedniejsi niż te ptaszki —
Gniazda wasze pobużone
Bracia w grobach... w turmach laszki
Wszystko — wszystko rozproszone...
Wasza ziemia — już nie wasza —
O! nie wasza, jak Bóg w niebie —
Polszcza to już mara lasza...
W Sybir! w Sybir! marsz! przed siebie! —
Cyt... cyt.., dońce... jakieś dzwięki,
Pieśń cudowna z nieba płynie...
Chrystus przyjął krwawe męki
Polska wasza nie zaginie! **Zora.**

Ostatnia zwrotka bardzo popsuła humor zadowolonych słuchaczom.

Jeden z nich nawet oświadczył, że nie ma w niej za kopiejkę sensu — co słysząc i widząc stare atamanisko zawołał: „O! o świataja Moskwo, Boh jest' z toboju! Ty takich sukinsynów nie rodiłaś jeszczo", poczem splunął i wyszedł. — Ponieważ kilku z owych słuchaczy, bawi obecnie w Krakowie, więc przebaczcie szanowni nasi czytelcy, że powtórzeniem tej dumki pragniemy gościom naszym przyjemność sprawić. (Z tajemnic djabelskich.)

## Z wielkiej chmury.

My się nie damy — krzyczeli głośno —
Zjeść Niemcom w kaszy —
Ho! ho! pomówim z rządem tam w Wiedniu,
W tej sprawie naszej!

Rząd nas tak kocha, rząd nam tak sprzyja
A więc w rajschracie,
Powiemy, niechaj weźmie w opiekę
Tę naszą bracię.
On się upomni o wydalonych —
Ha! drżyj Bismarku —
Bo za bezprawia co waść wyprawia,
Weźmiesz po karku!
I pojechali z miną grożącą
Całemu światu,
Interpelować rząd ostro, głośno
W salach rajschratu.
I pojechali strojni w karmazyn,
Topazy, szafir —
A hrabia Taffe rzekł im: „Panowie
Was kann ich dafür?
Bismark jest mocny i bardzo mocny
A my są słabi —
Więc dajcie pokój, nie róbcie hecy,
Gehen sie abi!"
I wnet umilkli ci przedtem butni,
Z krajów kontuszy,
By nie przyczyniać rządom kłopotu
Stulili uszy.
A hrabia Taffe po owej hecy
Od troski wolen,
Śmiał się wesoło i mówił głośno:
„Och dumme Polen".
„Och dumme Polen*!* grzmiał śmiech ponury
W bismarczym domu;
I „Djabeł" śmiał się — lecz w pierś pazury
Wpił, z bolu sromu!

*(Z Djabła krak.)*

miejskich, jako i w niektórych prywatnych, należących do historycznych rodzin dawnej Rzeczypospolitej św. Marka. Poszukiwania te uwieńczone zostały najpomyślniejszym skutkiem.

Oprócz dokumentów, dotyczących dziejów polskich, które wskazane już zostałe przez Aleksandra hr. Przezdzieckiego i oprócz tych, które August hr. Cieszkowski poprzepisywać w części kazał w archiwum państwa, a są to depesze ambasadorów weneckich w Polsce do dożów wystowane i zdając sprawę z ówczesnego toku wypadków i polityki polskiej, panu Kulczyckiemu udało się wynaleść kilkadziesiąt dokumentów całkiem Polakom nieznanych, a niezmiernie ciekawych i rzucających wielkie światło na naszą przeszłość. Wiele z nich przepisuje się obecnie staraniem i kosztem badacza, który zapewne w swoim czasie postara się zawiadomić kraj o swoich odkryciach, możliwych tylko dla Polaka oddawna mieszkającego we Włoszech, znającego gruntownie ich język i rozległe mającego stosunki w towarzystwie włoskiem.

Piszą nam także, iż hr. Kulczycki zauważył przy tej sposobności, że owe liczne foliały samych codziennych niemal depesz weneckich ambasadorów z Polski, nieocenione zawierających skarby, a których odpisy August Cieszkowski otrzymał z archiwum państwa podobno aż do końca panowania Jana Kazimierza, nie przynoszą pożądanego owocu dla naszego kraju, jeżeli nie staną się przystępnemi dla publiczności i opatrzone przytem nie zostaną polskiemi przekładami, których podjąć by się powinni mnodzy polscy księża, mieszkający we Włoszech. Część bowiem tych doniesień pisana jest w weneckim djalekcie, a w najważniejszych i najpoufniejszych posłowie Rzeczypospolitej św. Marka używali cyfer, do których jeden tylko uczony wenecki klucz dziś posiada. Bez objaśnień do cyfrowanych depesz i bez polskich przekładów do wszystkich, naród nasz nie wiele skorzysta z odpisów zamówionych w *Santa Maria dei Frari* przez polskiego filozofa. Będzie to coś na kształt biblioteki chińskiej sprowadzonej do Polski.

Dnia 12. września, wieczorem, jako w rocznicę wiedeńskiego pogromu, pałac *Bril da Ru* nad wielkim kanałem koło kościoła *Santa Maria della Salute*, gdzie mieszkali państwo Kulczyccy, oświetlony został malowniczo bengalskiemi ogniami na pamiątkę zwycięstwa Sobieskiego. Było to podobno pierwsze w Wenecji oświetlenie z tego powodu od czasu owych ogólnych i prześwietnych oświetleń, jakiemi stolica dożów w 1683 r. witała wiadomość o polskiej wygranej i przyjazd Denhofa i Talentego, wiozących listy Jana III. do doży i do Papieża, tudzież zatraconą dzisiaj chorągiew proroka.

Dalej dowiadujemy się, iż hr. Kulczycki, zafrasowany tem, iż pałac wielkiego i bohaterskiego doży Franciszka Morosiniego, sprzymierzeńca Jana III. i Rzeczypospolitej polskiej, po wygaśnieniu linji zdobywcy Peloponezu w osobie starej hrabianki Morosini-Gatterburg, zmarłej bez testamentu, ma przyjść w niemieckie ręce, pierwszy uprzedzając krajowców uczynił kroki, aby pałac ten z nieocenionemi jego historycznemi pamiątkami i arcydziełami włoskiego pendzla, ogłoszony został pomnikiem i zbiorem narodowym i ażeby dwudziestu kilku kłócących się między sobą spadkobierców Niemców rządowe wynagrodzenie dostało. Myśl naszego ziomka przyjęta natychmiast została przez wysokich dostojników i ministrów włoskich, a mnodzy Wenecyanie a na ich czele kardynał Agostini, patrjarcha wenecki i hr. Aloise Mocenigo, potomek siedmiu dożów, dziękowali hr. Kulczyckiemu za inicjatywę jego, świadczącą o braterstwie Polaków i o niewygasłej wiedeńskiej solidarności potomków obu sławnych sprzymierzonych chrześcijańskich rzeczypospolitych, rycerstwa polskiego z weneckiem rycerstwem. Atoli, pomimo gorliwości, z jaką rząd włoski przyjął myśl naszego rodaka, sprawa to nader trudna, bo hr. Sapary, Węgier, jeden ze spadkobierców, chce odkupić dla siebie pałac i zbiory Morosinich od współdziedziców, a przymusowe wywłaszczenie jest niemożliwem w tym wypadku podług włoskiego prawa.

Nakoniec czcigodna polska patrjotka księżna Ludmiła z Hołyńskich Falconieri-Carpegna, bawiąc świeżo w Wenecyi, postanowiła wbrew usilnym prośbom J. I. Kraszewskiego uczynić nowy krok za nim do bawiącego na lagunie księcia Fryderyka Karola Leopolda pruskiego. Wielce godny i czysto humanitarny adres za sławnym polskim pisarzem podpisany został przez księżnę, przez księcia Harango Falconierego, jej małżonka, jako szambelana pruskiego dworu i byłego szambelana Piusa IX., przez hrabiego Władysława Kulczyckiego, który był kolegą księcia w tym ostatnim urzędzie, przez całą rodzinę państwa Kulczyckich i przez kilku jeszcze rodaków, mających w tym względzie i w innych *całkiem odmienne pojęcie od sfer decydujących w kraju*, gdzie dziś tyle ma powodzenia zasada *inertia sapientia*. Książę pruski zaś jak najmniej to podanie przyjął i obiecał się wstawić za Kraszewskim, tak iżby po upływie siedmiu jeszcze miesięcy mogło zwolnienie kary nastąpić. Jedna atoli z pań należących do galicyjskiej arystokracyi, zbliżonej do wiedeńskiego dworu, zaproszoną będąc przez księżnę Falconieri do dodania swego podpisu na adresie, odmówiła w sposób nader pogardliwy. Wiadomo bowiem, że Stańczycy nie cierpią Kraszewskiego, a hrabina W. B. nie mogła zapewno wyłamać się z surowej karności panującej w obozie krakowskich mężów stanu, pisarzy i podwawelskich jenjuszów.

**„Kurjer polski“** w Paryżu otrzymał z Szwajcaryi od hr. Władysława Platera następujące pismo:

„Podpisani współpracownicy Założyciela Muzeum Narodowego w Rapperswylu, hr. Władysława Platera, czują się w obowiązku oświadczyć, że wieść szerzona przez nieprzyjaznych tej zachowawczej instytucji pamiątek ojczystych tak licznie już zebranych, jakoby ona nie była własnością narodową, jest zupełnie z prawdą niezgodna.

Od lat przeszło 15 wszystkie dokumenta urzędowe, zacząwszy od statutów z dnia 1. lipca 1869 r., aktu z dnia 18. lipca tegoż roku zrzeszenia się własności muzealnej Założyciela na korzyść narodu polskiego, stwierdzonego podpisami władz szwajcarskich, aż do aktu uznania Zakładu muzealnego przez te władze jako fundacyę publiczną, jako osobistość prawną, upoważnioną do przyjmowania legatów, stwierdzają tę własność narodową.

Zarząd muzealny wybrany przez Założyciela, który po jego śmierci będzie miał wszystkie jego atrybucye i doborami w łonie swojem odnawiać się będzie, jest w obliczu prawa, według ustaw szwajcarskich reprezentantem właściciela muzeum, to jest narodu, dopóki sam naród nie będzie mógł za pośrednictwem swego pełnomocnika administrować tym zakładem.“

Dnia 10. sierpnia 1885 r.

Członkowie Zarządu:

Józef Gałęzowski, Stefan Buszczyński, Agaton Giller.

**Zgoda**, wychodząca w Milwaukee, zamieściła opis parafii A l b e r t a, liczącej około stu rodzin polskich wśród głuchych puszcz i zdala od kolei żelaznych i dróg bitych. Proboszcz miejscowy, ks. Henryk Cichocki, robi z tamtąd wycieczki po kilka set mil angielskich w głąb kraju. Koloniści żyją nader skromnie. Chaty ich z kloców drewnianych, błotem oblepiane, podobne są raczej do stajni, aniżeli do mieszkań ludzkich. Ajenci, wyprzedający grunta, strasznych się tu oszustw dopuszczają. O sto mil od Alberty znajduje się osada S t a n i s ł a w ó w, licząca 20 rodzin polskich; klimat w niej nadzwyczaj ostry, przypomina Syberyę, lato najwięcej trwa trzy miesiące, ziemia też nie wiele tam wydaje. Było po co opuszczać kraj rodzinny, ażeby w Ameryce doświadczyć jeszcze większej biedy.

**W Odesie** Izydor Kownacki przedstawił władzom miejskim wynaleziony przez siebie proszek, a raczéj rodzaj piasku, mający służyć do gaszenia pożaru. Próby wobec kompetentnych mają się wkrótce odbyć.

---

# Ziemie polskie.

## Z nad granicy Królestwa polskiego.

Oburzenie na Prusy za bezprzykładne wydalenie Polaków poddanych rossyjskich i austryjackich jest tak powszechem w Królestwie Polskiem, że niezdarzyło się nam słyszeć nikogo, któryby obojętnie, bez poczucia zgrozy mówił o tem.

Niebezpieczną grę rozpoczął książę Bismark. Wprawdzie nikt mu wojnę nie wypowie za łzy i niedolę kilkudziesięciu tysięcy Polaków pozbawionych chleba i mienia i wyrzuconych ze stosunków, z którymi się zrośli, ale skutki tego wydalenia dadzą się nietylko teraz niemcom poczuć w odpychaniu ich od miejsc, na których ich chętnie dotąd przyjmowano, ale w przyszłości nawet unikać z nimi będą nietylko Polacy lecz inne także narody bliższych stosunków.

Fakt ten wypędzenia Polaków nawet w legalne paszporty zaopatrzonych, pobudzi wreszcie do położenia tamy niemieckim wędrówkom do Polski. Drang nach Osten nie znajdzie już żadnego z naszej strony ułatwienia.

Ta zapora nieufności, wstrętu, jaka się wznosi pomiędzy Niemcami a sąsiednimi narodami, jest dziełem ich największego bohatera.

Oburzenie na rząd niemiecki podzielają z nami Żydzi, Francuzi, Anglicy, Moskale, a nawet Niemcy, dawno w królestwie polskiem osiedli.

Pomiędzy ostatnimi bardzo wielu wypierać się poczęło niemieckości, zaczęło się uczyć po polsku i starać się o naturalizacyę.

Pan Lindley, anglik, przeprowadzający kanalizacyą Warszawy, oburzony wydaleniem polskich robotników z państwa pruskiego, oddalił wszystkich niemieckich robotników, którzy pracowali przy kanalizacyi. Zapytany ze strony magistratu, z jakich powodów to uczynił, oświadczył chłodno, że robotnik polski jest lepszy od niemieckiego i tańszy. W kontrakcie z miastem, pan Lindley ma sobie zapewnioną zupełną niezależność pod tym względem, dla tego czyn jego przyjęto z ogólnem zadowoleniem i zapomniano mu wszystko, cokolwiek dotąd miano mu do zarzucenia.

W mieście Łodzi przeważnie przez Niemców zamieszkałem, właściciel wielkiej fabryki, żyd, oddalił wszystkich robotników niemieckich, a przyjął na ich miejsce polskich. Z Częstochowy donieśli nam, że w fabryce spółki francuzkiej, wypowiedziano robotę 300 Niemcom. Zarząd tej fabryki wezwał plakatami robotników polskich, aby ich miejsca zajęli. Nowych robotników wysyła fabryka naprzód celem wyuczenia się do Belgii, 150 robotników wysłano już na naukę. Wielka Warszawska fabryka tytoniowa Union oddaliła również niemieckich robotników. Wielu kupców, którzy brali towary z Prus, z Berlina, z Wrocławia, oświadczyło niemieckim fabrykantom, iż w skutek wydaleń Polaków, nie mogą z nimi nadal mieć handlowych stosunków i zwróciło się po towary do Austryi, Francyi i Anglii. Inni kupcy i przemysłowcy tak samo obiecali uczynić.

„Zdaje się, pisze warszawski korespondent do „Nowej Reformy“ że niemałą Niemcom dywersyą robimy na prywatnej drodze, tem więcej, że z wyjątkiem „Moskiewskich Wiedomosti“ i „Nowoho Wremieni“ (zdaje się, że i „Dniewnika Warszawskiego“, p. r) wszystkie dzienniki rosyjskie są postępowaniem Prus oburzone a rząd i w następstwie cenzura, nie mają nic przeciwko takiemu z naszej strony postępowaniu.“

W wielu dobrach, które posiadały niemiecką służbę folwarczną lub dzierzawców Niemców, nastąpiła już odmiana. Służbie zapłaciwszy pensyę za czas zastrzeżony, pozwolono powracać do Niemiec, dzierzawcom zapowiedziano, iż nowych z nimi niezawrą kontraktów.

Odwet tego rodzaju jest rozumnym i godnym naśladowania i jeżeli staje się powszechnym, przyniesie polepszenie dobrego bytu ludności polskiej. Nie jest to, właściwie rzecz biorąc, odwet, ani też zemsta za wydalenia z Prus Polaków, pochodzących z innych prowincyi, lecz naturalną obroną. Wydaleni rodacy potrzebują chleba, który zjadają przybyli do nas Niemcy, ażeby więc ich wyżywić, musimy tamtych oddalić ze wszystkich stanowisk jakie na polskiej ziemi zajmują. Dla jednych i drugich chleba nam nie starczy.

Gdybyśmy się nie bronili w ten sposób, moglibyśmy uledz w tej wojnie ekonomicznej zniszczeniu jaką nam wydał rząd niemiecko-pruski, głosząc cynicznie, iż wypędza Polaków obcych poddanych, aby Niemcy pozajmowali ich miejsca i chleb tamtym odebrany zajadając, dopomogli rządowi w germanizowaniu ludności polskiej.

**Piszą z Koronowa** w zaborze pruskim:

„W ubiegłą niedzielę (w wrześniu r b.) boleśnie, my Polacy, zostaliśmy dotknięci. Otóż jedna z gór, które otaczają Koronowo, nazywała się g ó r ą Ł o k i e t k a, ponieważ tam Władysław Łokietek koronował się, od czego powstała nazwa naszego miasteczka. Niemcy zmieniając wszystko co polskie, nazwali tę górę W i l h e l m s h ö h e. A obchodząc uroczystość Sedanu, urządzili tam ogromny festyn, my zaś mając tę górę naprzeciwko siebie, musieliśmy z wielkim bolem serca przypatrywać się im i przysłuchiwać ich narodowym śpiewom. Wrażenie zrobiło to na mnie, że dopiero co z mego kochanego polskiego Poznania wróciłem“.

Niech się szanowny rodak pocieszy tą nadzieją, że przyjdą czasy, w których wszystkie nazwy polskie, przez Niemców przeinaczone, powrócą.

Nadzieja ta jest przedmiotem wiary i głębokiego przekonania wszystkich uczciwych ludzi.

Przewrotni tylko sądzą, że gwałty, jakich się Niemcy, ufni w swą przewagę dopuszczają na naszej ziemi, zapewnią im wieczyste panowanie, właśnie dla tych gwałtów i wszystkich niesprawiedliwości, oraz srogiego ucisku i prześladowania, panowanie utracą.

Zanim to nastąpi, Polacy niechaj gorliwie zachowują swoją narodowość, niechaj mówią po polsku i po polsku nazywają miasta, wsie, góry i rzeki. Niemieckie nazwy są tylko urzędowemi, one nas nie obowiązują bynajmniej!

**Bank ziemski** w Wilnie ogłosił licytacyę 335 dóbr, zaległych w spłacie pożyczki, z tego najwięcej, bo 60 majątków przypada na gubernię Mińską. Smutne te liczby dowodzą, jak opłakany jest stan rolnika na Litwie, którego trapi nie tyle konkurencya amerykańska i indyjska, ale złe rządy, z rozmysłem niszczące własność ziemską.

**Najliczniejszem stowarzyszeniem** na Górnym Szlązku austryackim jest „Związek szlązkich katolików“ liczy bowiem 2.500 członków. Niedawno zawiązany, wywierał już znaczny wpływ na sprawy publiczne w Górnym Szlązku, zwłaszcza też na wybory do sejmu w Opawie i do komitetów drogowych. Lud chętnie się do niego garnie. Jeżeli katolicy Polacy wytrwają na drodze, którą obrali, to sprawy publiczne obrócą się na ich korzyść, a „Związek szlązkicą katolików“ odegra ważną rolę w dziejach Górnego Szlązka.

**Związek wydał w r. 1884 trzy broszury w języku polskim pod tytułem „Poseł Związku szlązkich katolików“**

*Poseł* jest organem Związku i acz nię peryodycznie wychodzi, jest przecież czasopismem.

Związek wydał także książeczkę p. t.: „Pouczenie o wyborach“.

Każda książka jego wydania rozeszła się w 2.500 egzemplarzach między ludem górnoszlązkim.

Związek urządzał w różnych miejscowościach Górnego Szlązka zgromadzenia ludowe dla narady nad sprawami, o których podane są wiadomości w *Posłach*. Takie zgromadzenia odbyły się trzy w Cieszynie (1884 r.,) a po jednem w Jabłonkowie, we Frysztacie, w Skoczowie, w Strumieniu, we Frydku, w Rudzicy, w Morawce, w Czechowicach, w Rychwałdzie i w Szonowie. Na zgromadzeniu najmniejszem było 500 uczestników, na największem 5.000.

Pożyteczne więc jest to Stowarzyszenie.

**Z Kaliskiego**. Nie udało się Niemcom, mającym ochotę nabyć majątek ziemski należący do p. O. w Kaliskiem. Stargowali już oni piękną wieś i nazajutrz miano udać się do rejenta dla spisania kontraktu, gdy dowiedziawszy się o tem włościanie w tejże wsi, oświadczyli, że oni gotowi są nabyć majątek i proszą dziedzica, aby sprowadził geometrę i podzielił folwark na większe i mniejsze kolonie, oni zaś za to, ofiarują o dziesięć rubli na mordze więcej, aniżeli ugodzili Niemcy. Wobec tego oświadczenia, Niemcy otrzymali odmowę i nabywcami ładnego folwarku zostali chłopi, którzy złożyli na drugi dzień u rejenta 10,000 rubli zadatku. I są ludzie, którzy utrzymują, że włościanin nasz nie ma głębokiego poczucia obywatelskiego.

„**Gaz. Lubelska**“ donosi, że w Lublinie ma być założoną nowa fabryka aksamitów. Fabryka ta ma się mieścić na Piaskach, w gmachu dawnego młyna parowego „Kośminek“, który będzie przerobiony, stosownie do wymagań wzmiankowanej fabryki.

## Nekrologia.

Od lat siedmiu czy też więcej zamieszkał we Florencyi **Antoni Zaleski**, rodem z Litwy, znany zaszczytnie z talentu rysownik i autor. Kupił w tem pięknem mieście willę i w niej dnia 4. Października 1885 r., o godzinie 8 z rana, w wieku lat 61 zakończył życie. Antoni Zaleski wsławił się jako illustrator Pamiętników Paska, Pamiątek Soplicy, poematów Mickiewicza: Grażyna i Wallenrod, poematów Lenartowicza: Zachwycona i Błogosławiona i kilka jeszcze innych arcydzieł polskiej literatury. Był on artystą naukowo wysoko wykształcony, a w rzeczach sztuki znawcą, do którego sądu muzea stolic europejskich niejedno krotnie się odnosiły. Obdarzony pamięcią wyjątkową, należał do tych rzadko pojawiających się fenomenow, którzy raz przeczytawszy, czy usłyszywszy rzecz jaką, już ją do końca w pamięci zatrzymują. Zaleski niesłychaną ilość przeczytanych książek w angielskim, niemieckim, francuzkim, włoskim i własnym języku zdolnym był ustępami z pamięci cytować i można było być pewnym, że tak tam, a nie inaczej, wydruko wano. Znakomicie władający piórem, pisywał do różnych czasopism artykuły: w rękopiśmie zostawił Pamiętniki, które humorem równają się niemal owym, które w młodości swojej, po powrocie z Akademii florenckiej, illustrował. Drugiem dziełem wysokiej nau kowej wartości w języku francuzkim jest jego rzecz o medalionach mistrzów włoskich z XV, XVI i XVII wieku, manuskrypt więcej niż 500 stron mający z reprodukcyami medalionów.

Antoni Zaleski należał do historycznej, zasłużonej rodziny. Był on krewnym Bronisława Zaleskiego. Gdy wskutek prześladowań w Litwie musiał emigrować, wyjechał do Krakowa i bawił tam czas dłuższy. Na emigracyę do Florencyi, przybył już słaby. Gdym go w Florencyi odwiedzał w 1882 roku, leżał w łóżku, chorobą do ciągłego w niem zostawania zmuszony. Mówił jednak tak swobodnie, jakby mu nic nie dolegało, a mówił o sprawie polskiej, interesując się w najwyższy sposób wszystkiem, co się Polski dotyczyło. Ten gorący patryotyzm był największą jego ozdobą. Gościnny dom jego był otwarty dla wszystkich uczciwych rodaków, co się służbą u wrogów nie splamili.

Najściślejsza przyjaźń łączyła go z Teofilem Lenartowiczem, który o nim napisał te słowa: „Siłą wiedzy i głębokiego, jasnego rozumu, zdrowiem fizycznem i tą poczciwą, niczyjej dobrej sławy nietykającą wesołością, górował nad przypadłościami, a w chorobie czteroletniej, w której prawie z łóżka nie wstawał, nigdy najmniejszem słowem zniecierpliwienia nie okazał, żartował z najcięższych własnych bolów, a odwiedzających przyjaciół, rozmową zawsze pełną interesu, przez długie godziny przy łożu swoim zatrzymywał. Trzeba było widzieć tę prawdziwie piękną, męzką twarz, ożywioną wspomnieniami z lat młodych, do których często myślą powracał. Andriolli, przyjaciel jego, może ją kiedyś do pism publicznych naszkicuje, typy tego rodzaju albowiem są, jak fizyonomia własnego kraju, drogie i ukochane dla wszystkich, które sztuka ma obowiązek zachowywać. Rzadko, rzadko komu uda się przejść przez życie, odnosząc za sobą same błogosławieństwa; otóż Antoniemu Zaleskiemu to się właśnie udało, nie ma bowiem takiego, ktoby mu nie tylko błędy, ale jakąbądź wadę zarzucił. Spokój olimpijski prawdziwie utrzymywał się w tej duszy zakłóconej doświadczeniami, od których życie człowieka wolnem nigdy być nie może. Ze zgonem Zaleskiego społeczeństwo polskie ponosi stratę więcej niż uczonego i artysty, bo człowieka zacnego w całej rozległości tego wyrazu, wzór obywatela, męża, przyjaciela i ojca. Atak apoplektyczny, jak powiew wiatru zdmuchnął w jednej chwili to piękne światło, w cieniach smutku zostawiając żonę, dzieci i przyjaciół“.

Z listu czcigodnego dr. Jabłońskiego J. A, N., pisanego w Eulées 12. Sierpnia 1885 roku, dowiadujemy się o zgonie **Rożnierskiego Michała**, jednego już z bardzo rzadkich weteranów z r. 1831 w Poitiers, zmarłego w tymże mieście w 75 roku życia. Zwłoki jego pochowano na miejskim cmentarzu 8. Sierpnia, o czwartej godzinie wieczór.

„Na apel pogrzebowy, pisze szanowny nasz korespondent, stawiło się wszystko co żyje, to jest: starcy, młodzi, kobiety i dzieci polskie i znaczna liczba Francuzów, co była w stosunkach ze zmarłym. Zamiast przemowy, którą miał przygotowaną, ob. J. A. N. Jabłoński rzucił w grób na wieko trumny garstkę ziemi polskiej z Wawelu, pomięszanej z ziemią z kopca Kościuszki, z kopca Wandy i z grobów braci, zabitych w 1848 r. w Krakowie, wymawiając te tylko wyrazy: „tę polską ziemię dodaję ci do obcej“!

Michał Rożnierski urodził się we wsi Czarna, w Lubelskiem, w r 1810. W czasie powstania 1831 roku pospieszył w szeregi, które walczyły o wyswobodzenie Polski z pod panowania moskiewskiego najazdu i w piątym pułku ułanów służąc, bił się we wszystkich bitwach, w których ten pułk uczestniczył. Ponieważ piąty pułk był w korpusie smutnej pamięci jenerała Romarino, więc z nim razem przeszedł do Galicyi.

Tu Rożnierski osiedlił się, nie mając zamiaru udawać się dalej na zachód. Jako jednak dobry Polak nie mógł być obojętnym na losy Ojczyzny, wziął więc udział w tajnym związku, jaki się wówczas sformował dla pracy nad oswobodzeniem Polski. Policya austryacka śledziła tropy patryotów i ścigała wszystkich czynniejszych i szlachetniejszych, nie uszedł więc jej uwagi i Rożnierski. Aresztowany we Lwowie, badany i dręczony protokołami, przesiedział trzy lata w austryackiem więzieniu. Po tak długiem zamknięciu za kratami, władze austryackie skazały go wreszcie na wygnanie do Francyi.

W Marsylii wylądował i tu przeznaczyła go władza francuzka do zakładu w Privas (Ardéche), zkąd we Wrześniu 1836 r. przybył do Poitiers, dokąd go przyciągnęły stosunki przyjaźni i pobyt „Centralizacyi Towarzystwa Demokratycznego“, którego był czynnym i gorliwym członkiem.

Na utrzymanie życia swego zarabiał, pracując w biurze pana Grange ojca (agent voyer en chef) i w biurze Dyrekcyi dochodów stałych, z którego najczęściej roboty brał do domu, to wreszcie w prefekturze jako tłumacz. Przez lat czterdzieście kilka załatwiając w tej ostatniej dykasteryi sprawy tyczące się emigrantów, otrzymał w końcu szczupłą rządową emeryturę. Z tego wszystkiego nie tylko umiał wyżyć, żyjąc skromnie, lecz przyzwoicie, ale potrafił jeszcze coś zaoszczędzić na starość.

Był on jednym z tych, którzy przed laty podpisali i wysłali z Poitiers adres*) do ministerstwa francuzkiego przeciwko krępowaniu swobody polskiej emigracyi w jej działaniu politycznem. W tym pięknym akcie, godnym reprezentacyi narodu, pracującego nad wywalczeniem swej wolności i niepodległości, powiedzianem było pomiędzy innemi, co następuje:

„Emigranci polscy biegli do Francyi nie po chleb i schronienie, lecz po broń i Ojczyznę, i oświadczyliśmy w masie gotowość raczej do opuszczenia tej ziemi, która nam dała w prywatnem życiu tyle dowodów bratniej sympatyi, jak do zrzeczenia się świętego obowiązku nieustawania na chwilę w poświęceniu się dla dobra Polski na ciernistej drodze, którą przechodzimy“.

W r. 1848 na odgłos powstania w kraju, gdy Wielkopolska podniosła sztandar wolności, braterstwa i niepodległości i poczęła walczyć z przewrotnymi Prusakami o swoje prawa narodowe, polscy emigranci porzucili Francyę, aby się połączyć z walczącymi braćmi. Michał Rożnierski puścił się z innymi w drogę ku Polsce, lecz nie doszedł na plac boju i powrócić musiał do Poitiers, w Krakowie bowiem Austryacy bombardowaniem miasta położyli kres powstaniu; w Poznańskiem zaś przewaga pruskiego oręża, po kilku wygranych przez Polaków bitwach, zmusiła naszych rodaków do rozejścia się po domach swoich.

*) Był to znany adres sekcyi Towarzystwa Demokratycznegó.

W późniejszych latach czynił także co mógł, aby w szczupłym, jaki mu został, zakresie, spełnić obowiązek dobrego Polaka; słusznie też należało się mu uznanie jego zasług.

Doczekał się go w roku jubileuszowej roczniey powstania listopowadego, otrzymał bowiem za pośrednictwem jednego z przyjaciół medal pamiątkowy z gwiazdą wytrwałości z napisem usque ad finem. Uszczęśliwiony był niemało tem zaszczytnem wyszczególnieniem, które wykonane zostało w r. 1880 w myśl uchwały ostatniego zgromadzenia sejmu naszego w Zakroczymiu (1831 r.)

W Poitiers miał Rożnierski wielu znajomych, którzy go jako człowieka uczciwego i dobrego polskiego patryotę poważali. Pomiędzy znajomymi było wielu takich, którzy mu dawali szacowne imię brata. Zgon też jego wywołał ogólny żal w tem mieście.

## Co kosztuje pokój europejski?

„Qui vult pacem — parat bellum“ — kto chce spokoju, musi być przygotowanym do wojny.

Tej zasadzie hołdują wszystkie państwa Europy.

Uzbrojone od stóp do głowy, stoją naprzeciw siebie narody w bojowym rynsztunku; umiejętność i technika wysila się na coraz nowsze wynalazki narzędzi wojennych; niezdobyte fortyfikacye wyrastają jak grzyby po deszczu, opancerzone kolosy przerzynają wód morskich przestrzenie, stal i żelazo, proch i dynamit, para i elektryczność — służą strasznemu bożkowi wojny.

Ale owe kolosy pancerne i armie, broń i fortece — to pieniądze składane przez ludy w kształcie rozmaitego rodzaju podatków.

Wiele też kosztuje utrzymanie pokoju europejskiego w gotówce?

Na podstawie statystycznych danych, a mianowicie statystycznego gotajskiego kalendarza na rok 1885, oraz innych źródeł urzędowych, sumy jakie wydają poszczególne państwa na armię i marynarkę rocznie, obliczając je na ruble według nominalnej wartości, przedstawiają się jak następuje:

| | | |
|---|---|---|
| Austro-Węgry . . . | rs. | 83,206.058 |
| Belgia . . . . . . | „ | 11,306.454 |
| Dania . . . . . . . | „ | 5,516.326 |
| Francya . . . . . . | „ | 295,412.572 |
| Grecya . . . . . . | „ | 6,011.172 |
| Hiszpania . . . . . | „ | 41,399.815 |
| Niderlandy . . . . . | „ | 16,736.612 |
| Niemcy . . . . . . | „ | 144,426.504 |
| Norwegia . . . . . . | „ | 4,377.492 |
| Portugalia . . . . . | „ | 9,694.645 |
| Rosya . . . . . . . | „ | 240,123.000 |
| Rumunia . . . . . . | „ | 7.497.230 |
| Serbia . . . . . . | „ | 2,548.544 |
| Szwajcarya . . . . . | „ | 3,705.027 |
| Szwecya . . . . . . | „ | 9,042.446 |
| Turcya . . . . . . | „ | 34 092.902 |
| Wielka Brytania . . | „ | 177.111.086 |
| Włochy . . . . . . | „ | 76,200.225 |

Zatem Europa potrzebuje na utrzymanie swej armii i floty wojennej rocznie rubli . . . 1, 068,408 111

Ale te cyfry ani nawet w przybliżeniu nie dają jeszcze pojęcia o rzeczywistych kosztach utrzymania pokoju w Europie.

Obok sum na koszta utrzymania armii i floty najważniejszą cyfrę w budżetach wszystkich państw europejskich stanowią procenta od długów państwowych.

A zkądże długi te powstały? Tylko i wyłącznie na utrzymanie siły zbrojnej. Gdyby nie istniały armie nie byłoby i długów państwowych, a dochody wówczas wystarczyłyby zupełnie na coraz wzmagające się potrzeby, które obecnie stawiane są na drugim planie.

Ponieważ zaś długi te pochodzą z owego ciągłego pogotowia wojennego, zatem słusznie zaliczyć je należy do ofiar, któremi narody okupują ów pokój.

Jak też wielką jest suma, jaką Europa opłacać musi corocznie nie na umorzenie długów, ale tylko na same procenta od tychże?

Na pytanie to czerpiemy odpowiedź z powyżej zacytowanego źródła.

Opłacają tedy rocznie:

| | | |
|---|---|---|
| Austro-Węgry . . . | rs. | 131,110,003 |
| Belgia . . . . . . | „ | 24,663,870 |
| Dania . . . . . . . | „ | 3,049,064 |
| Francya . . . . . . | „ | 313 400,504 |
| Grecya . . . . . . | „ | 5,916,392 |
| Hiszpania . . . . . | „ | 67,254,119 |
| Niderlandy . . . . . | „ | 16,871,044 |
| Niemcy (s. Prusy 46,179,859) | | 91,120,661 |
| Norwegia . . . . . | „ | 2,089,982 |
| Portugalia . . . . . | „ | 18,475,774 |
| Rosya . . . . . . . | „ | 200,650,000 |
| Rumunia . . . . . . | „ | 12,301,212 |

| | | |
|---|---|---|
| Serbia . . . . . . | „ | 1,941,375 |
| Szwajcarya . . . . . | „ | 464,851 |
| Szwecya . . . . . | „ | 3,529,547 |
| Turcya . . . . . . | „ | 27,198,364 |
| Wielka Brytania . . | „ | 181,914,577 |
| Włochy . . . . . . | „ | 129.758,701 |
| Procenta zatem od długów europejskich pochłaniają rocznie . . . | „ | 1,231,660,041 |
| Wydatki roczne na armię i flotę . . . . . | „ | 1,068.408.111 |
| Koszta więc te wynoszą rocznie . . . . . . | „ | 2,300,068,152 |

Piękna suma — dwa miliardy trzysta milionów rubli, Europa opłacać musi za koszta utrzymania pokoju, którego mimo to nie pewną. *Dz. p.*

---

## „Odwet".

Pod tym tytułem notują dzienniki nie tylko w Galicyi ale i w Kongresówce fakta, że Polacy oddając „pięknem za nadobne" Niemcom, zrywają z nimi stosunki handlowe i w ogóle wszelką łączność. Co prawda, po dziśdzień niezbyt wiele jeszcze można notować takich prawdziwie patryotycznych objawów, które się zaznaczają nie gębą, nie frazesami, ale czynem. W Galicyi dali początek aptekarze, a za ich przykładem idą niektórzy przemysłowcy i rękodzielnicy. O naszych patryotach kupcach, niesłyszeliśmy dotąd. Pojmujemy wprawdzie, że wielu jest tak zawikłanych z domami handlowemi niemieckiemi, iż się muszą dalej pozwolić wysysać, szczególniej gdy idzie o wypłatę weksli. Ale z drugiej strony wiemy, że jest wiele firm, które każdej chwili mogą stosunki zerwać.

A gdyby nasze kupiectwo uczyniło odezwy w innym kierunku zagranicznym, wyłuszczając jawnie przyczyny zwrotu i zmiany swych stosunków handlowych, to jesteśmy przekonani, że świat handlowy zrozumiałby ten głos i dla własnego interesu podałby lepsze warunki jak Niemcy. Nie byłoby to kiwanie palcem w bucie, ale faktem pewnej doniosłości.

Napróżno jednak oczekujemy dotąd, aby się nasze patryotyczne firmy zdobyły na taką odwagę i podniosły do wysokości czynu obywatelskiego, jeżeli nawet Towarzystwo spożywcze lwowskie, jako niezależne od Niemców, i inne takie towarzystwa w kraju, niezdobyły się jeszcze na coś podobnego. Natomiast, jakby tego patryotyzmu już było za wiele, spotykamy się z zachciankami rehabilitacyi miłości ku nam Niemców. I dziwna rzecz, taki *Dziennik polski* umieszcza tę radosną nowinę ofiarności niemieckiej, bez najmniejszego komentarza.

W Nr. 259. z dnia 12. b. m. czytamy co następuje:

„Są wyjątki. Najlepszym dowodem, iż nie wszyscy Niemcy podzielają polakożercze zapatrywania żelaznego księcia, jest fakt następujący: Najstarszy fabrykant wody kolońskiej Jan Marja Farina w Kolonji Jülichsplatz, przysłał na ręce kupca tutejszego p. Jana Riedla, który utrzymuje skład komisowy wspomnianej fabryki, 50 marek pruskich — z pismem wyrażającem szczere współczucie dla nieszczęśliwych wygnańców i z uwagą, iż jest stanowczym przeciwnikiem polityki Bismarka. Kwotę 50 marek złożył p. Jan Riedl dla wygnańców w Banku krajowym."

Otóż na taką plewę, można tylko młode wróble łapać (żółtodzióbki) A że właścicielom firmy „Jan Maria Farina" zależy bardzo wiele na stosunkach handlowych z Galicyą, o tem jesteśmy najzupełniej przekonani. Jeżeli bowiem jaki artykuł handlowy, to woda kolońska z Kolonii znajduje tu oddawna znaczny odbyt, a to począwszy z powodu uprzedzenia naszego, że dziś pomimo popularności i udoskonalenia produkcyj chemicznych, tylko ta woda z Kolonji jest doskonałą. Jest to jednak tylko uprzedzenie i nic więcej, gdyż dziś takie „wyłączne sekreta", jak fabrykacya wody kolońskiej, są zupełnie jawne i znane w laboratoryach. To też słynne firmy Jan Maria Farina, mają bardzo licznych i niebezpiecznych konkurentów nawet u nas w kraju.

Rok rocznie, wychodzą jednak znaczne sumy do Kolonji na tę wodę. Z samej Galicyi, schowali kolończycy dotąd przez szereg lat jaki jeden do dwóch milionów złr. Nie jest to cyfra przesadzona. Rocznie wynosi ona może co najmniej kilkadziesiąt tysięcy złr., a to ładny kąsek, mieć takich odbiorców; że zaś Polacy są narodem dobrodusznym i łatwowiernym, to gdy się błyśnie ofiarnością 50 marek, można ich jakoś kupić z kretesem, a bodaj czy nie robić jeszcze lepszych interesów. Otóż my ci radzimy p. Janie Maryanie Farinie, bywaj zdrów i pisz do Galicyi na Berdyczów. Jest to jednak cenna wskazówka, że Niemcy sobie nie lekceważą stosunków z nami, — ale tylko handlowych.

Czy nasi kupcy i przemysłowcy zrozumią to patryotyczne zadanie, przekonamy się wkrótce.

---

## Najnowsze odkrycie Pasteura.

Wiadomo, że medycyna nie znała dotychczas środka przeciwko wściekliźnie, tak, iż przesądy i gusła panowały w tej dziedzinie niepodzielnie. Ale od lat już kilku pracował nad tym przedmiotem słynny chemik francuski Pasteur. W roku już zeszłym donosił on o ważnych wynikach swoich doświadczeń nad zwierzętami, polegających na wstrzykiwaniu pod skórę materyi, wziętej z mózgu lub rdzenia kręgowego zwierząt, dotkniętych wścieklizną. Doświadczenia na królikach i świnkach morskich odbywały się w specyalnej pracowni; Pasteur znalazł, że u wscieczonych zwierząt jest szczególny gatunek bakteryj, które też hodował badacz, tak samo jak przedtem hodował bakterye karbunkułu. Już w maju roku zeszłego Pasteur wypowiedział był myśl, że być może, w odległej przyszłości medycyna zdoła zastosować zbadane prze zeń na zwierzętach skutki szczepienia wścieklizny do leczenia ludzi. Ta przewidywana przyszłość już się ziściła, gdyż 26. października r. b. na posiedzeniu akademii francuzkiej, Pasteur wyrzekł, między innemi, te słowa: „Celem poszukiwań moich było odkrycie środka przeciwko ukąszeniom przez psów wściekłych, które sprowadzały zazwyczaj śmierć. I udało mi się to. W odpowiedzi zaś na referat Pasteura, członek akademii, prof. Vulpian, który był świadkiem badań swego kolegi, oświadczył: Doniosłość praktyczna wynalazku jest olbrzymią. Liczba osób, kaleczonych przez psy wściekłe, jest większą, aniżeli sądzimy. Leczenie choroby obecnie jest pewnem. Wyniki doświadczeń wieńczą sławę Pasteura i przynoszą chwałę ojczyźnie naszej". Wobec tego, ciekawą jest rzeczą, na czem polega metoda Dra Pasteura i jakie to były stanowcze doświadczenia. Metoda w istocie swojej jest ta sama, co szczepienia ospy Jennera, co niepewna jeszcze w swych skutkach metoda szczepienia cholery przez Ferrana: jad zaszczepiony ne guje skuteczność jadu zarazkowego. Pasteur zauważył, że pierwiastek zaraźliwy psa wściekłego, zaszczepiony do błony mózgowej trepanowanego królika, potęguje się tak, iż jad z królika zdechłego na wściekliznę szczepioną jest o wiele gwałtowniejszy w zaraźliwych skutkach swoich od jadu psiego.

„Tak więc, powiedział Pasteur, dopełniam na królikach trepanowanych szczepienia w błonę mózgową zarazka wścieklizny z psa. Jeżeli jad z tego pierwszego królika szczepimy drugiemu, następnie trzeciemu i t. d., wywiązuje się z tego potęgowanie jadu i coraz zwiększająca się gwałtowność inkubacyj. Po dwudziestu do dwudziestu pięciu przejściach z królika do królika, trwanie inkubacyj (skrytego stanu jadu), z piętnastu dni, redukuje się do dni ośmiu. Trwałość ta utrzymuje się podczas nowego peryodu przejścia przez dwadzieścia pięć królików. Później jeszcze jadowitość się zwiększa i gdy przechodzimy do dziewięćdziesiątego królika, inkubacya trwa tylko siedm dni.

Pasteur już zdołał otrzymać jad o sześciodniowym okresie inkubacyi i ma nadzieję otrzymać jeszcze silniejszy. Tak więc, można już otrzymywać jad wścieklizny dowolnej siły. Z twardej opony mózgowej *(dura mater)* królika zdechłego na wściekliznę, Pasteur brał płatek o kilku centimetrach kwadratowych i przechowywał go we flakonie z chemicznie czystem powietrzem. Nasamprzód badacz wstrzykiwał materyę zaraźliwą rozcieńczoną w buljonie psom: w ciągu dwóch dni szczepiono jad coraz silniejszy i 50 psów stały się niedostępnymi dla jadu psiej wścieklizny.

Trzeba było zrobić doświadczenie nad człowiekiem, naturalnie już zarażonym, czyli, innemi słowy, wobec dotychczasowego stanu medycyny w tej dziedzinie, nad osobnikiem skazanym na śmierć niechybną. Do pracowni przy ulicy Ulm, 6. lipca r. b. przybyli z Alzacyi: mężczyzna już w wieku, dziewięcioletni chłopiec i jego matka; ojciec i syn byli pokąsani przez psa wściekłego, ale ojciec bardzo słabo. Vulpian i Granchet stwierdzili u chłopca 14 ran ciężkich; Vulpian zawyrokował, że śmierć chłopca niechybna. Ten wyrok ośmielił Pasteura do dokonania próby. Po upływie 60 godzin od chwili ukąszenia, Pasteur wstrzyknął chłopcu Józefowi Meisterowi znany już jad pod skórę, i następnie, w ciągu dni dziesięciu, rano i wieczorem codziennie, wstrzykiwał mu jad coraz silniejszy. Dla skontrolowania siły jadu, jednocześnie zastrzykiwał go zdrowym królikom, które po kolei wszystkie się wściekły. Po dniach piętnastu, chłopiec był zdrów zupełnie i dotychczas cieszy się zdrowiem zupełnem. Drugiej próby dokonał badacz nad 15-letnim pastuszkiem Janem Judith, który przyszedł do Pasteura po sześciu dniach od chwili ukąszenia 20 września. Chłopiec, stojąc w obronie innego dziecka, naraził własne życie i został pokąsany w lewą rękę. Po zastosowaniu tej samej metody, pacyent ocalał.

Nic więc dziwnego, ze ogół i organa prasy żywo się interesują tem wielkiem odkryciem, i imię wielkiego Pasteura przechodzi z ust do ust, a potomność będzie je powtarzała obok imoin Jennera i tych innych dobroczyńców cierpiącej ludzkości.

*„Kraj"*

---

## KORESPONDENCYE.

**Z Belgradu** donoszą nam w liście prywatnym o niezwykłym objawie patryotycznym królowej serbskiej Natalii.

Otóż gdy wobec groźnej tamże sytuacyi politycznej, pokazuje się wielki brak wszelakiej bielizny dla armii wyruszającej w pole, zapanował od kilku dni niezwykły ruch w zamku królewskim, w apartamentach królowej, które wbrew wszelkiej etykiecie, zamienione zostaty w wielką szwalnię. Królowa sprowadziła 40 maszyn do szycia i wielki zapas płótna, a stanąwszy sama czynnie na czele, zawezwała patryotki Serbki do pomocy. Od rana do rana (na zmianę) słychać tylko warczenie maszyn, gdy znowu inne panie przykrawują wszelką bieliznę. Królowa zaledwie używa kilkogodzinnego niezbędnego spoczynku, dyrygując całą pracą z największą pilnością. Nieustannie też słychać pieśni, opiewającee bohaterskie czyny przodków. W gronie tych licznych pracownic, odgrywają ważną rolę dwie Polki, żony tułaczy osiadłych w Belgradzie (nazwiska nieczytelne), które są kierowniczkami tej pracowni. Krótowa jest dla nich nadzwyczaj uprzejma, a one opowiadają o udziale Polek w ruchu 1863 r. Królowa w szwalni jest tylko Serbką, starszą siostrą. Często wchodzą tam zgrzybiali starcy, bez różnicy stanu, którzy już niemogą podążyć z innymi, aby królowej błogosławić.

Że objaw taki pobudza zapał, łatwo sobie wystawić. Kręci się tu mnóstwo ajentów moskiewskich po cywilnemu, ale Serbi patrzą na nich coraz więcej podejrzliwem okiem i baczą na nich nieustannie.

Faktem jest, że Serbia się niecofnie i niemoże cofnąć, bo inaczeej dynastya panująca będzie silnie zagrożoną. Każde chwili czekamy wieści pierwszego boju.

Powróciwszy wczoraj po blisko dwutygodniowej nieobecności w Belgradzie z linii, zastałem wasz list z 24. Października. Dziwi mię, że moja korespondencya niedoszła. Jak tylko cokolwiek odetchnę, napiszę obszernie, ale listu tak samo nieoddam w Belgradzie na pocztę, jak to i z tym czynię.

**Biała podlaska** dnia 5. Listopada. Dobrjański wyjechał z Podlasia z próżnemi rękami, ale z klinem w głowie; jadąc bowiem przez wieś Łukowiska pod Międzyrzeczem zauważył, że w kilku chatach odbywały się wesela, a przed karczmą pełno i gwarno; — wstąpił do popa i powinszował mu, że tak dobrze idzie.

— A dobrze, tylko nie ja śluby dawałem, odrzekł pop.

— A któż?

— Był tu ktoś w nocy, chrzcił, spowiadał i śluby dawał.

— Ależ to nie może być, tu lud już dawno przystał na prawosławie, a prócz pana (Dobrjańskij choć sam perekińczyk, inaczej parochów prawosławnych nie tytułuje) mieszkają strażnicy policyjni.

— I cóż z tego, ludzie przystali, dopóki było wojsko, co ich objadało; lecz skoro tylko się wyniosło, to ludzie o prawosławiu i słyszeć nie chcą; wczoraj w nocy jak pracował ksiądz misyonarz (przysłany aż z Rzymu, tak chłopi mówią), to strażnicy gonili gdzieś tam złodzieji, a ja sobie spokojnie spałem, nic nie podejrzywając, uwolniłem nawet na dwa dni mego parobka, który o to prosił a dziś się dowiaduję, że i on wziął ślub krakowski i wesele wyprawia.

(Unici zamożniejsi rzeczywiście dla wzięcia ślubu do Galicyi jeżdżą, a metryki chrztu i akta ślubne wszystkie z Krakowa sprowadzają; ztąd nazwa ślub krakowski. Przyp. Red.)

— To nie prawda! to być nie może!

— Jeśli pan mnie nie wierzysz, to spytaj się ludzi!

Dobrjańskij się zamyślił; ludzi się niepytał, tylko nazad do Warszawy odjechał. Złapał przecież niedawno misyonarza (księdza Macieja Szafrańskiego w Lublinie, pisaliśmy o tem. Przyp. Red.); chyba z więzienia uciekł, czy co? Zapomniał widocznie o tem, że chrzcić każdy może, a ślub zawarty przy świadkach jest w takich razach ważnym, choć bez błogosławieństwa, gdy ksiądz nie może być obecnym, byle była dyspensa. Co zaś do spowiedzi, ludzie chodzą na odpusta o kilkanaście mil, gdzie ich nikt nie zna. Zresztą, jak tam było, to było, a czy popowi, który zwykle jest i denuncyantem, całą prawdę mówią? to też pytanie. (Nawet do dzienników wszystkiego pisać nie mo-

żna. bo Moskale je też czytają, więc na tem kończym).

Do Warszawy sprowadził sobie Dobrjańskij Olszewskiego z Wisznic (miasteczko, dziś osada w powiecie Włodowskim, guberni Siedleckiej. Przyp. Red.) Ten włóczykij trudnił się niczem i wszystkiem, karany już kilkakrotnie kryminalnie, przez czas niejaki dopomagał Unitom — dziś pomaga ich prześladowcy. Chodzi na kolej, przypatruje się przyjezdnym, czy między nimi Unity nie zobaczy, który dla ślubu przyjechał; włóczy się po księżach i prosi o pomoc duchowną dla Unitów — zaczepia nawet osoby cywilne, a to wszystko z namowy radcy stanu Mirosława Adolfowicza Dobrjańskiego, lecz z pod owczej skóry tak widoczne są wilcze pazury, że nie na wiele swemu pryncypałowi się przyda.

Wywłoka galicyjski T r a c z a, prawosławny paroch w Szczebrzeszynie (miasteczko w zamojskim, sławne niegdyś ze szkół, po 1831. roku zniesionych. P. R.) namawia Unitów na prawosławie, a każdemu dobrowolnie zmieniającemu wiarę, prócz nieba po śmierci, obiecuje za życia tyle pola i łąki, ile sobie kto życzy; aby jednak było zkąd brać ziemię, trzeba dzisiejszych właścicieli Lachów i katolików usunąć. Lud nasz jednak ma za dużo zdrowego rozsądku, aby tak nikczemnych poduszczań usłuchać; słucha, bo cóż ma robić? kiwa głową, potem się żegna, „aby czorta i złe myśli odpędzić". (Szatan kusił Chrystusa, ale go do takich rzeczy nie namawiał, jak ten pop: to już chyba sam Belzebub).

Kniaź T r u b e c k o j, komisarz włościański w Zamościu (dawniej forteca dziś zniesiona, groby rodziny Zamojskich. P. R.) nie namawia wprawdzie na tak ładne rzeczy, jak paroch prawosławny, lecz o ile może przeszkadza dobrowolnym układom o zamianę służebności, utrzymując włościan w przekonaniu, że car grunta, na których dziś mają serwituty, z czasem im podaruje — (car dobry nie zapomniał o kniaziu, który cały majątek przehulał w Petersburgu, dał mu nie złą posadę): lecz brednie te wprost przeciwny wywierają skutek, gdyż tyle dobrowolnych umów o zamianę służebności, jak za panowania kniazia, jeszcze nie było.

Moskwin, prezes zjazdu sędziów pokoju gubernii Lubelskiej, niepozwala komornikom sądowym wykonywać wyroków, jeżeli wynagrodzenie za szkody przez popełniających występki wydaje mu się za wysokiem. Żadnie pilnuje wymiaru sprawiedliwości, ten który na to naznaczony? A wiecie z jakiej racyi. — Oto sam pan prezes powiedział: „ten co zrobił szkodę, wypasając łąkę, lub kradnąc drzewo, nic nie winien, bo gdyby miał swoje, drugiemu by nie brał; a ten, któremu szkodę zrobiono, widać ma za wiele, kiedy mu było można wziąść".

Czy ci panowie działają w zmowie? czy takie mają poufne zlecenie od władzy wyższej? Czy też przypadkiem tylko tak pięknie się dobrali? O to mniejsza, dość, że tak się dzieje i że na to żadnej rady nie ma. Podasz skargę to wolno, aby tylko na stęplu; ale prędzej umrzesz bracie nim się odpowiedzi doczekasz, lepiej zatem na stęple pieniędzy nie marnować, a czekać zmiłowania Bożego, aż nas od tej plagi uwolni.

Prześladowanie wiary — i bałamucenie ludzi, lecz jedno i drugie Moskalom się nie udaje. Nic wam zresztą nie donoszę. O pogodzie macie w kalendarzach — o biedzie — macie wy swoją, a o polityce tyle wiemy, co z z dzienników. (Goniec).

---

## KRONIKA.

**Uwiadomienie.** Dnia dzisiejszego numer „Strażnicy polskiej" wychodzi pod odpowiedzialnością redakcyjną pana S t e f a n a W y s o c k i e g o, a to z tego powodu:

Redaktor odpowiedzialny J. N. z Oleksowa Gniewosz, który za obrazę honoru p. Aleksandra H r y n i e w i e c k i e g o, c. k. a d j u k n t a w B u s k u skazany został wskutek werdyktu Sądu przysięgłych na t r z y m i e s i ą c e aresztu, areszt ten N a j w y ż s z ą ł a s k ą M o n a r c h y obniżony został do 3 tygodni, który to areszt skazazany obecnie odsiaduje w Sądzie delegowanym przy ulicy Jagiellońskiej. Areszt ten kończy się dnia 23. b. m. o godzinie wpół do 3. po południu.

Pan **Aleksander Hryniewiecki**, byłyj c. k. adjunkt Sądu w Busku, został przez Trybunał dyscyplinarny we Lwowie od urzędu oddalony.

**Exprokurator** czerniowiecki Mehoffer, otrzymał w drodze łaski pensyę 1.200 złr. rocznie.

**„W sprawie przysporzenia wody dla miasta Lwowa."** Pod tym tytułem czytamy w *Dzienniku polskim* z dnia 11. bm. artykuł, napisany widocznie przez fachowego, myślącego inżyniera, w sprawie niefortunnego pomysłu sprowadzenia wody z Dubsówki.

Sprawę tę podnosiliśmy niedawno, ale głównie ze stanowiska pokrzywdzenia dla odwiecznych praw właścicieli na Wulce, którzy ze źródeł „Dubsówki" użytkują. Dziś dowiadujemy się ciekawych rzeczy, a mianowicie:

Że „Tow. Politechniczne", a więc nie jednostki inżynierskie, posiadające względną kompetencyę, zastanawiało się i opracowało sprawę zaopatrzenia Lwowa w dostatek wody. Tow. polit. niepominęło okalających miasto drobnych źródeł, a badało fachowo i źródełka na "Dubsówce".

Wynik tych badań okazał, że aczkolwiek na okół Lwowa jest mnóstwo takich źródełek, niezaopatrzą one jeszcze miasta w taką ilość wody, jak ono potrzebuje, a co najpewniejsze, to koszta sprowadzenia tej wody będą b a r d z o w y s o k i e i nigdy się nie opłacą. Woda ta będzie b a r d z o d r o g ą.

Dalej odebranie tych źródełek przedmieściom, i to w chwili, gdy się miasto rozszerza na wszystkie boki, może ten rozwój utrudnić na długo, a dotychczasową kulturę uczynić wprost niemożebną. Miasto, które liczy przeszło 120000 mieszkańca, ograniczone będzie pod względem kąpieli do minimum, wobec faktu, że te kąpiele nawet teraz niewystarczają.

Przedewszystkiem, ma magistrat obowiązek zaopatrzenia gorszych części miasta w wodę, a tego się nie uskutecznia źródełkami z „Dubsówki" lub innemi tego rodzaju. Eksperymenta takie, robią się widocznie na chybił trafił, bez względu jakie koszta za sobą pociągną i ile l i t r wody będzie rzeczywiście kosztował.

Słusznie mówi autor artykułu, aby magistrat zawcześnie tych rachunków nie zamykał, dopóki nie ukończy procesów z tak s a m o w o l n i e i b e z w z g l ę d n i e poszkodowanymi obywatelami wuleckimi. Dziwiło nas, dlaczego prace Tow. Polit. o ile dotyczą zaopatrzenia miasta w wodę, niezostały dotychczas przez magistrat ogłoszone, aby się szersza publiczność z niemi zapoznała. Dziś możemy słusznie podejrzywać, że prace te nie przypadały do smaku areopagowi urzędu budowniczego w magistracie, z panem dyrektorem H o c h b e r g e r e m na czele. A przecież p. H o c h b e r g e r nawet j a k o a r c h i t e k t, nieumiał jeszcze dotąd zyskać sobie takiego uznania, aby projekty jego i wykonanie tychże, miały być przyjmowane na bona fide. Cóż dopiero mówić o pracach inżyniersko-technicznych, wodnych, które się znacznie różnią od architektoniki — wymagają gruntownej nauki fachowej, specyalnej.

Czy urząd budowniczy magistracki we Lwowie tego rodzaju siły posiada, o tem śmiemy wątpić. Może tam są empirycy, lecz nie fachowi. Wątpliwość taką nastręczają nam ostatnie awanse w biurze budowniczym, gdzie według zapatrywań p. Hochbergera samouczek bez egzaminów, byle tylko siedział szereg lat w biurze magistratu, może być przed tymi, którzy kończyli studya i składali egzamina, awansowany na inżyniera. Ale wróćmy do źródeł „Dubsówki".

Nieposądzamy areopagu pp. inżynierów magistrackich i biegłych znakomitości w tej sztuce, aby nieposiadali tak elementarnych wiadomości, iżby nie umieli obliczyć ilości wody z tych źródełek i kosztów prawdziwych, jakie ta rzecz za sobą pociągnie. Ale dlaczego niemówić otwarcie i nieprzyznać się dokąd droga prowadzi?

Panom inicyatorom tego wodociągu z Dubsówki, nie idzie bynajmniej o to, czy woda sprowadzona będzie z częściową korzyścią dla miasta, a tem mniej zależy im na obliczeniu kosztów. O to ich głowa nie zaboli, bo jak się coś raz pocznie, to musi być i ukończonem, bez względu na koszta. Inicyatorom bezpośrednio i pośrednio leży coś innego na sercu, oto wodotrysk przed gmachem sojmowym, a ztąd posunięcie się na drabinie uznania i wysokich względów. Oto sekret prawdziwy.

I my niemamy nic przeciw wodotryskowi — ale wprzód żądamy w o d y dla miasta, lecz sprowadzonej w warunkach prawidłowych, odpowiednich naszym potrzebom, a mianowicie, bez szkody dla przedmieść.

Byłoby wielce do życzenia, aby pan prezydent zechciał wnijść w porozumienie z Tow. politechnicznem; to nieubliży ani jemu, ani urzędowi budowniczemu — nawet p. Hochbergerowi. Wiemy przecież, że JW. Prezydent nie rości sobie prawa do kompetencyi w sprawach budowli wodnych — jako specyalista. Otóż Tow. Politechniczne może tu być nader cennym doradcą dla niego i Rady miasta.

**Lwów** 9. listopada. Sprytna frakcya Stańczyków spowodowała przeprosiny pomiędzy marszałkiem Zyblikiewiczem, a Zygmuntem Kozłowskim. W tym interesie Kozłowski był w sobotę n marszałka, a w akcie pojednania interweniował p. Henryk Kieszkowski. Z ubolewaniem zapisujemy fakt, że dr. Zyblikiewicz podał rękę p. Kozłowskiemu, którego n i e u w o l n i ł a od ciążących na nim zarzutów transwersalnych ani cała połowa komisyi parlamentu wiedeńskiego, ani większość wyborców ziemi przemysko-jarosławskiej przed tegorocznemi wyborami do Rady państwa, ani wreszcie teraz połowa wyborców ziemi sanockiej. W wypadkach takich — powtarzamy — t y l k o j e d n o g ł o ś n o ś ć ma wagę. Podzielone zdania są potępieniem. A w reprezentacyi kraju powinni zasiadać ludzie niewątpliwej czystoty.

*Kurjer lwow.*

**Szlachta sanockiego powiatu** w Galicyi, dała dowód najwyższej niekarności, wybierając powtórnie do Sejmu Kozłowskiego, który podczas ostatniej sesyi wyprawił karczemną burdę w Izbie. Wzywany kilkakrotnie przez marszałka do porządku, zachował się jak dziki kozieł, odgrażał się, rzucał — a w końcu obrażając całe zgromadzenie, z sali ustąpił. Zmuszono go po prostu do ustąpienia. Dalsze jego zasiadanie w tym Sejmie jest niemożliwem, pod laską marszałka Zyblikiewicza. Tymczasem usłużni przyjaciele, familia, sąsiedzi nie baczą bynajmniej na dobro kraju, na skandal, który wywołują. Gotowi dać „bratu szlachcicowi" satysfakcyę, choćby z krzywdą najwyższej władzy autonomicznej i całej reprezentacyi narodu. Zupełnie jak „za dobrych czasów" ruiny naszej politycznej. Nic, nic nie poprawiliśmy się więc! Stary nałóg popierania kuzynów, dla ambicyi i interesu własnego dalej toczy całą szlachetczyznę, wysyłającą Stadnickich, Kozłowskich i tutti quanti jako zastępców kraju i narodu! Ale gdyby to tylko owa burda ciążyła na sumieniu Kozłowskiego. Powiedzielibyśmy że niekarni, niepoprawni jego wyborcy, że lekkomyślnie narażają kraj na skandale — ależ przecie znajdzie się środek na takiego półpanka. Gmach sejmowy ma drzwi szerokie. Smutniejsza daleko, że ten Kozłowski w sprawie Schwarz-Kamiński odegrał rolę wcale dwuznaczną, że oczyścić się mimo zapobiegliwych przyjaciół nie zdołał, że pozostało na nim piętno nieuczciwego, niehonorowego co najmniej postępowania. A więc wybieracie na swego zastępcę człowieka, o którym nawet powiedzieć nie można, że obok arogancyi, zuchwałości, posiada ten najważniejszy warunek — niczem nieskalany, żadnym cieniem podejrzenia niesplamiony charakter. Cóż o was pdwiedzą?! Jesteście więc gotowi ze wszystkiem kopiować najsmutniejsze czasy upadku rzeczypospolitej!

*(Przegląd tygodniowy warszawski).*

**Rozbudzenie się przemysłu.** Dowiadujemy się, że grono tutejszych przemysłowców powzięło zamiar założenia w kraju fabryki lamp. Fabryka rozpocznie swą działalność od wyrobów najprostszych, tak zwanych lamp chłopskich, które wielki u nas mają pokup. Najwyższy czas już, ażeby z tej gałęzi przemysłu wyrugować pozakrajowych spekulantów.

**Znaczny jeden majątek** w powiecie W. jak donosi „Tygodnik Rzeszowski", ma przejść w ręce Niemca. Głównym powodem sprzedaży, jak wieść niesie, ma być wojaż właściciela do Paryża(!) W przejeździe przez Niemcy potrzebne mu będą talary, więc wzywa Niemca. Tylko tak dalej!...

**Oto znowu próbka z żywota autonomicznego.** Do *Dziennika pol.* donoszą.

„Sniatyn 11. listopada. Kahał żydowski nałożył w Sniatynie, za poprzedniem porozumieniem się i przyzwoleniem zwierzchności gminnej, na niektóre artykuły żywności podatek na utrzymanie rabina i inne wydatki gminy izraelickiej.

O urzędowej taryfie nie ma u nas mowy i jesteśmy na zupełnej łasce i niełasce. Kilo lichego mięsa płacimy po 40 ct. baraninę 30 ct., dobre zaś mięso wywożą z miasta.

Głośne narzekanie ludności chrześcijańskiej nie odnoszą żadnego skutku, albowiem płatny przez gminę burmistrz jest oraz płatnym przez wydział Rady powiatowej sekretarzem. Starostwo zaś nie chce się mięszać w sprawy gminne.

Występujemy przeto publicznie w nadziei, że przecież jakaś wyższa władza temu karygodnemu bezprawiu tamę położy i winnych do odpowiedzialności pociągnie."

**Specylny kurs handlowy** dla kobiet, o którym kilka razy była wzmianka w dzinnnikach, rozpocznie się bezzwłocznie, skoro się zbierze odpowiednia ilość słuchaczek.

Zgłoszenia przyjmuje p. Adolf Stroner, naczelnik miejskiej Izby obrachunkowej i docent buchalteryi w tutejszej miejskiej szkole handlowej; codziennie od godziny 8 do pół 9 rano i od 6—7 wieczorem w swoim biurze na dole.

Pan S. udziela również bliższych informacyj co do warunków, z których najważniejsze są, iż potrzeba mieć ukończoną 8 klasę szkoły wydziałowej, lub złożyć odpowiedni egzamin wstępny.

Wykładane będą przedmioty następujące: Buchalterya kupiecka (tyg. 3 godzin), rachunki (tyg. 2 godzin) prawo handlowe (tyg. 2 godzin), geografia handlowa (tyg. 2 godzin), stylistyka (tyg. 1 godzina).

Kurs, o którym mowa, trwać będzie przez rok jeden, a wykłady odbywać się będą w jednej z sal szkoły wydziałowej żeńskiej, na co J. W. P. prezydent miasta łaskawie zezwolić raczył. W skład grona nauczycielskiego wchodzą na razie, oprócz p. Stronera dla buchalteryi, p. Wiktor Chrzanowski, rewident rachunkowy magistratu jako ukończony jurysta dla prawa handlowego; p. S. Łabowski, urzędnik magistratu i docent w miejskiej szkole handlowej dla rachunków kupieckich; tudzież p. Józef Zimmermann, referent miejsk. biura statystycznego dla geografi handlowej i stylistyki.

**Łowy na dzika.** W lasach Olszyńskich, posiadłości p. Jana Kochanowskiego, w powiecie Brzeskim, od lat kilku niezmierne wyrządzał szkody w polach dzik, którego nieudawało się myśliwym zabić. Włościanie niemogąc ochronić zasiewów swych przed nieproszonym gościem, udali się do p. Jana Szumańskiego, leśniczego, ażeby on uczynił obławę i od bestyi ich uwolnił. Młody ów człowiek, chcąc doświadczyć odwagi własnej, wybrał się z jednym włościaninem, który znał legowisko dzika, w zeszłym tygodniu w nocy do lasu, i stanął w wąwozie, którym wypłoszony dzik musiał przebiegać.

Wypłoszany psami dzik rzuca się w wąwóz wprost na Szumańskiego, tenże strzela raz, ale kapsla spaliła, strzela drugi raz i trafia dzika w czaszkę wyżej oka. Przestraszony dzik zwraca się napowrót i kryje w gąszczu. Po długich poszukiwaniach odnaleziono go. Nadszedł tymczasem leśny i zapalił słomę. Wyszczuty dzik rzuca się naprzód, i w tej chwili Szumański trafia go po za uszy śmiertelnie. W kilku podskokach stoczył się w przepaść, druzgocąc wszystko po drodze.

Zabity dzik ważył 326 kilogr. Zaiste odwagę leśniczego podziwiać, bo ona prawie z zuchwalstwem graniczyła. W rozebranym dziku znaleziono za skórą kilka kulek. *(Pogoń.)*

**Z Warszawy.** Spłakałem się jak bóbr, a jeśli mówię o płaczu, to rzecz naturalna, iż miało to miejsce na Powązkach, gdzie cała modna i nie modna Warszawa znalazła się w komplecie. Dla czego płakałem, żeby mi kto rękę uciął, powiedzieć nie jestem wstanie, pewnie dla tego, że wzdychali i płakali wszyscy, którzy także dla czego płakali, niewiedzieli. Złodzieje byli tak przyzwoici, a reporterzy tak powściągliwi na tym dniu zadusznym, że nawet nie miałem sposobności dowiedzieć się od jednych, czy dobrze im się robota udała, a od drugich, czy bal dziadowski, chronicznie wędrujący po szpaltach pism, udał się tym razem, kto na nim był królową balu i jakie mianowicie stroje robiły furorę. Warto przecież, aby specyaliści nasze pomyśleli o tem, toż to także do mody i kostiumów należy, a lekceważyć tych rzeczy nie trzeba, choćby dla zwyczaju, dzięki któremu okapcamy niemiłosiernie groby umarłych, dajemy dziadom na przepitkę — jałmużnę, czytamy nazajutrz o jajecznicy bez pierza, w końcu dla zwyczaju płaczemy ogniście i wzdychamy niby jerychońskie trąby. Ponieważ ciekawość jest moją słabą stroną, przeto pojechałem przyglądać się innemu wypadkowi w Pruszkowie, w którym sześciu ojców rodziny a biednych robotników, utraciło życie. Płakali tam, płakali także ale jakoś ciszej, aniżeli na Powązkach i mimowoli przyszła mi do głowy refleksya: czy też nie byłoby warto pomyśleć o tych biedakach, którzy więcej pomocy potrzebują, aniżeli wrzeszczące ochrypłym głosem dziady, co to do kamieniczek z żebraniny dochodzą. Ale darmo — na to trzeba umieć płakać głośno.

Na bok łzy jednak, miejsca dla śmiechu i radości, bo oto przybywa do nas nietylko Patti, ale kilka innych jeszcze zręcznych w wywabianiu pieniędzy osobników. Przyjeżdża trupa francuzka, angielskie cacka z polskiemi napisami, mormoni z kilkoma żonami (dziki naród, przy jednej na karku trudno głowę utrzymać!). Ach prawda, o mało nie zapomniałem, iż przybywa pani Rebiczkowa, która wedle jednego z pism, warto zatrzymać na stałe, aby nam po niemiecku śpiewała. Zlitujcie się panowie, nie drwijcie już z tej biednej polskiej sceny, która przecież zajezdnym domem nie jest dla pierwszego lepszego z brzegu. Nic tu nie pomogą debiuty, dopóki bezustannie tylko będziemy zmuszeni słuchać jednych i tych samych oper, co się nawet najlepszym i najzaciętszym melomanom przejeść może. Doprawdy, musi człowiek wyjść z cierpliwości, skoro widzi, że prócz prezesa, który radby tę scenę podnieść, nikt nie myśli o jej pożytku, ale o jej zatraceniu. Subordynacyi nigdzie za grosz, dochodzi już do tego nawet, że chórzyści dyktują reżyserom, w czem ich mają obsadzać, a w czem artystom. O monitorze boćkowski, przybądź na pomoc, bo chyba ty jeden napędzić będziesz zdolny rozumu do głowy tym, co swego interesu nie rozumieją. W tym wypadku przypowieść o chlebie, co ludzi bodzie, może mieć bardzo dobre zastosowanie. Wszyscy się o ten chleb staramy jak możemy. Przy tem wszystkiem nie przeszkadza to nam zupełnie i myśleć o przyjemnościach. Tak naprzykład odczyty na Osady rolne, które miały się rozpocząć we środę, rozpoczną się za dni dziesięć. Towarzystwo muzyczne koncertuje z powodzeniem i urozmaiconym programem co środa; koncert na dochód dla studentów uniwersytetu odbędzie się pod kierunkiem pana Quattriniego za dwa tygodnie: na przedstawienia Patti, zawsze puste loże na pol skiej operze, już rozsprzedane zostały. Pana Krzeczkowskiego w Paryżu niejęto, bo talent złodziejski wyedukonowany w dzisiejszych czasach, jest sprytniejszy od wszystkich policyi i tak łatwo zawstydzić się nieda. Wobec tego, niezawstydza się również jakimś dom w Piotrkowie, o którym powiada Tydzień, że w nim topią swoje mienie rozmaici ludzie, urzędnicy pensye, a wszyscy honor i godność własną. Domek to a la Monaco lub może a la Kusociński. Trudno, już teraz takie czasy bez rumieńców — a na to żadnego środka niema. Z przyjemnością więc konstatuję fakt, iż nikt się w tym tygodniu nie zarumienił, nawet dwóch tutejszych izraelitów, którzy postanowili zrobić nowy geszeft na... zgadnijcie czem?... na dziennikarstwie. Dobrzy sobie. — (Niestety; jota w jotę jak u nas. Boże zlituj się. *Przypisek zecera*).

**Zgon** zdolnej, młodej poetki Maryi Bartusówny, we Lwowie, wywołał całą jak się słusznie wyraził nasz korespondent „tragikomedyę". Jakby za danym znakiem, pisma nasze uderzyły w bardon żałobny i popłynęła masa frazesów na temat: świat „nieczuły" i ludzie „źli" zmarnowali tę natchnioną dziewicę, tę gołąbkę poezyi, która pod nawałem obojętności i nędzy padła jak gladiator w cyrku dzisiejszego zmateryalizowania. — Wszystkie ilustracye podały jej portret, a pochwałom niema końca i miary. Wobec sprawdzonego faktu, że Marya Bartus wraz z matką staruszką, nieraz całe tygodnie żywiły się herbatą i bułką, — te portrety, wieńce, dytyramby zasługują na taki wyraz potępienia, jakiego tu dla przyzwoitości nie możemy napisać. Gdyby bowiem czwarta część tych dobrych chęci, a nawet kosztów, jakie wyszafowano na pośmiertną sławę Bartusówny, udzieloną została poetce za jej pracę, niewątpliwie katastrofa nie miałaby miejsca. A do kogoż to należało, jeśli nie do owych pism, które z Bartusówną miały stosunki i które dość dobrze położenie jej znały, skoro dzisiaj z takiemi detalami o jej nędzy występują i na nieczułość świata narzekają. Ale niestety, los okazał się dla tej utalentowanej i nieszczęśliwej kobiety bez granic twardym, gdy bowiem fałszywi przyjaciele krzeszą sobie zysk z przesadnych nekrologów, znalazła się cała falanga puhaczów, którzy pamięć jej starają się zohydzić i przedstawić ją jako waryatkę, która nie wiedziała sama czego chce. Zaszczyt ten należy się *Kronice rodzinnej*, gorliwie popartej przez *Przegląd katolicki*. Wystąpienie tych dwóch organów łatwo zrozumieć, choć nieco trudniej usprawiedliwić. Zmarła miała nieszczęście (w oczach tych ludzi) przed zgonem, napisać ów smutny wierszyk, znany naszym czytelnikom, w którym z goryczą wypowiada swe zwątpienie w wiekuistość i swój żal do świata. Dosyć to wielka wina, aby wywołać groźne zmarszczenie brwi u tych, co się samozwańczo mienią strażnikami prawdy wiekuistej. Jakiś p. W. K. w *Kronice* dowodzi, że Bartusówna doświadczała dość łask i serca ze strony ludzi. Naturalnie miała her batę i bułkę, oraz nieopaloną izdebkę, a mogła i tego niemieć. Niewdzięczną też była Bartusówna i miała życzenia niepodobne do urzeczywistnienia..: np. „chciała być aktorką, co przy malutkim wzroście i jeszcze mniejszym głosie, było istnem niepodobieństwem". „Zwykła to kolej istot — dodaje surowo *Przegląd katolicki*, — które dla ideałów i przywidzenia ludzkiego odstąpiła od ideałów prawdy odwiecznej". All right! nie jadała obiadu i trzęsła się w nieopalonej izbie — nie wierzyła w wieczność! All right! Czy czasem nie zwątpiła w wieczność, bo nie jadła? Ktoby się o takie fraszki pytał. Módlmy się bracia!

**Pod jesień ożywił się „Salon"** p. Krywulta kilkunastoma, nie bez zalet płótnami. Wartością artystyczną pierwsze miejsce zajmuje Kazimierza Pochwalskiego, „Opowiadanie starego wiarusa".

„Hej tam w karczmie za stołem"...

Tak, tak, za stołem w karczemce krakowskiej, siadł sobie stary żołnierz, w wyszarzanym kawalerzysty mundurze... Opowiada.. twarz mu się pali płomieniem zapału, oczy ciskają iskry... pewno wpadł z konnicą na wroga! Wiara się skupiła... jeden w grubym szynelu, aż wypełznął na pół stołu, oparł głowę na rękach, kolanami klęcząc na ławie; drugi wygiął się na stołku w pałąk i pochylił, oparł na szabli dragońskiej i potakuje gestem każdemu słowu mówiącego! Niemniej czuje się przejętym parobczak w krakowskiej kierezyi. Tylko jeden dragon prowadzący za plecami starego umizgi z wiejską dziewuchą, zda je się nieuważać na słowa minionych czasów opowieści. Typ starego wojaka, doskonale uwydatniony wobec żołnierzy obecnego pokolenia, a przecież mimo różnicy wieku, uniformów, widz czuje, że jedno w tych wszystkich ludziach bije serce. W tem leży tragiczność sceny. Z małym wyjątkiem: nader trudnej pozycyi klęczącego na ławie żołnierza, figury narysowane są poprawnie, a perspektywa bez zarzutu, oświetlenie nader umiejętnie przeprowadzone. Również godnemi pochwały są: układ grup pełen naturalności, jak i koloryt odtwarzający właściwe barwy materyi w ubiorach, oraz miąższość przedmiotów w karczemnej komorze się znajdujących. — P. Pochwalski, w dawnych obrazach wpadał w krzykliwości barw, obecnie umie już je pogodzić harmonijnie, bez zatracenia siły i prawdy. Widząc ciągłe postępy tego artysty, zakładamy wiele na nim nadziei. Scena, o jakiej mówimy, każe nam tuszyć, że dalsze studya i uprawa w tym samym kierunku dadzą nam mistrza, który mógłby zająć w powszechnej sztuce obok Vantiera i Deffegera niepoczesne stanowisko. *Przegl. tyg.*

**Burmistrz miasta Rygi**, Büngner, i burmistrz miasta Rewla, Greiffenhagen, zostali ukazem carskim złożeni z urzędów i oddani pod sąd z powodu oporu przeciwko wprowadzeniu języka rosyjskiego do urzędowania.

Ukaz ten wydany został przed samym wyjazdem cara Aleksandra III. na zjazd do Kromieryża, jest zaś dowodem, że zmoskwicenie niemieckich prowincyj nadbałtyckich jest już rzeczą postanowioną w Petersburgu. Wysługiwanie się Moskalom przez nadbałtyckich Niemców nie uchroniło ich autonomii, ani też języka niemieckiego, jako urzędowego.

System, jaki Moskale zaprowadzili w rządach Litwy, Rusi i Królestwa Polskiego, zniszczy więc w pół samodzielny byt Kurlandyi, Inflant i Estlandyi, przeprowadzony bowiem będzie w całem tem tak ogromnem imperyum, obejmującem najrozmaitsze i najodrębniejsze pomiędzy sobą narody, ludy i kraje. Wszystko to pójdzie pod jeden strychulec.

**Polakożerczy dziennik** petersburski *Nowoje Wremja* mniema, że gdyby Finlandya nie zaprzestała opozycyi przeciwko częściowej russyfikacyi kraju, rząd carski będzie zniewolony znieść jej autonomię krajową i przyłączyć ją do Rosyi, jako zwyczajną guberinę.

Półurzędowy dziennik pisze o tem w kilka dni po świetnem przyjęciu cara Aleksandra III. w Helsingforsie.

Finlandyę, chociaż ani razu nie powstała przeciw Moskwie, czeka podobny los, jaki spotkał Litwę, Podole, Wołyń, Ukrainę i Królestwo Polskie.

**„Kurjer poznański"** donosi, że pątników z Królestwa Polskiego, którzy w tym roku, jak i lat poprzednich, wybrali się w miesiącu wrześniu na odpust do Gietrzwałdu, pruska żandarmerja rozpędziła w brutalny sposób, nie oszczędzając nikogo. Wielu było pobitych, o czem „Kurjer Poznański" wspomina, mówiąc, że obchodzono się z pielgrzymami bardzo źle przy tem rozpędzaniu... Prusacy coraz więcej cofają się do barbarzyństwa. Fakt rozpędzenia pielgrzymów jest tak dziki, że zdaje się być wyrwany z historyi Krzyżaków.

**W muzeum techniczno-przemysłowem krakowskiem** w sobotę dnia 7 listopada 1885 r. rozpocznie się ośmnasty rok wykładów dla kobiet. W bieżącym roku wykładać będą:

Na *Wydziale nauk przyrodniczych*: Adjunkt Obserwatoryum astronomicznego krakow. Dr. D. Wierzbicki astronomię popularną; prof. uniw. Jag. Dr. Wł. Szajnocha, mineralogię i geologię; prof. uniw. Jagiell. Dr. Rostafiński, botanikę; prof. gimn. Sobieskiego Dr. Jaworowski, zoologię; prof. gimn. św. Anny Franc. Tomaszewski, fizykę doświadczalną; profesor szkoły techniczno-przem. i docent. uniwers. Jagiell. Dr. Kaz. Grabowski, hygienę popularną.

Na *Wydziale historyczno-literackim*:

*a)* przedmioty stałe: doc. uniw. Jagiell. Dr. T. Ziemba, literaturę polską; tenże, estetykę; p. Gustaw Ehrenberg, literaturę powszechną; prof. uniw. Jagiell. Dr. A. Lewicki, historyę polską; prof. gimn. św. Anny Dr. Aug. Sokołowski, historyę powszechną najnowszych czasów od 1824 r.; p. Ksawery Pietraszkiewicz, pedagogikę.

*b)* przedmioty niestałe: p. Maryan Dubiecki „O stosunkach Polski w XV. w. do osad genueńskich na wybrzeżach Krymskich"; tenże: „O chwili przejściowej w naszej literaturze od epoki Stanisławowskiej, do nowej szkoły poetów i o przedstawicielach nowych kierunków"; kustosz zbiorów przyrodniczych Akademii Umiejętności p. Konstanty Jelski: „Szkice z podróży odbytych w celach naukowych do Gujany i Peru"; prof. szkoły techn.-przemysł. i docent Uniw. Jagiell. Dr. E. Bandrowski: „O Alchemii"; tenże: „O dawniejszych pojęciach chemii, wobec zapatrywań dzisiejszych"; dyrektor Muzeum Narodowego i prof. szkoły sztuk pięknych Władysław Łuszczkiewicz: „O harmonii barw"; prof. Uniw. Jagiell. Dr. L. Malinowski: „O stanowisku języka polskiego, w rodzinie języków słowiańskich"; Dr. Franciszek Bylicki: „O noworomantycznej szkole niemieckiej i francuzkiej, w muzyce".

Oprócz tego, kilku innych prelegentów zapewniło swój współudział w tegorocznych wykładach niestałych: tytuły tych prelekcyj zostaną ogłoszone we właściwym czasie.

Na *Wydziale Sztuk pięknych*: docent uniw. Jagiellońskiego Dr. I. Kopernicki wykładać będzie: „Naukę o budowie i proporcyach ciała, o kształtach zewnętrznych, o postawach i ruchach, jakoteż o układzie rozmaitych jego części w chwili danej akcyi"; prof. Akad. techn.-przem. krak. J. Rotter, perspektywę artystyczną; kustosz Muzeum techniczno-przemysł. krakows. architekt Wdowiszewski: „Historyę sztuki w streszczeniu" (dla szer-

szej publiczności); tenże: „Historyę sztuki obszernej“ dla poświęcających się sztukom pięknym. W b. r. wykładać będzie: „O Szkołach: Niderlandzkiej, Carraccich i Neapolitańskiej“; tenże: „O stylach, ze szczególnem uwzględnieniem artystycznego przemysłu“; tenże: „Technikę i historyę wyrobów artystycznych“, a mianowicie przypadające z kolei w b. r. działy: „Złotnictwo, wyroby metalowe, szkło i ceramika“. Wydział sztuk pięknych zostanie uzupełniony wykładami: Teoryi Ornamentyki i jej zastosowania“, o rozpoczęciu których będzie ogłoszone w miejscowych dziennikach i podane nazwisko prelegenta.

Oddziałów rysunkowych wolnoręcznych jest pięć. W pierwszym oddziale malarstwa olejnego i akwarelowego a także rysunków z gipsu, z martwej i żywej natury udziela artysta-malarz p. J. Styka; w drugim oddziale rysunków z wzorów i gipsów p. J. Siedlecki, w trzecim rysunków z wzorów i gipsów p. Karolina Bierkowska; w czwartym krajobrazów z wrorów, udzielają w zimowem półroczu w godzinach swych lekcyi kierujący oddziałami 1., 2. i 3., — na letnie zaś miesiące (rysunków z natury), czwarty znów oddział będzie istniał samodzielnie; w piątym (oddziale rysunków niedzielnych) ze wzorów i gipsów, p K. Bierkowska.

Nadto dla pań poświęcających się olejnemu malarstwu, może być otwartym każdego czasu oddział kompozycyjny w osobnym na ten cel wynajętem pomieszkaniu.

Oddziałów rysunków linearnych jest dwa:

W oddziale 1. „Rysunku geometrycznego poprzedzonego nauką jeometryi, i zastosowania tegoż do przemysłu, ornamentyki i życia codziennego, wraz z nauką o cieniach własnych i rzucanych“, udziela adjunkt obserw. astron. Dr. D. Wierzbicki.

W oddziale 2. rysunków linearnych, nauki lawowania, nakładania kolorami i t. p. udziela tenże.

W szkole rzeźbiarstwa udziela modelowania w glinie, artysta-rzeźbiarz p. Marceli Gujski.

W oddziale *drzeworytniczym* udziela drzeworytnictwa p. Ksawera Chlebowska. Kaligrafii ozdobnej udzielać będzie p. L. Peszkowski. Główny kierunek i opiekę nad Wydziałem Sztuk pięknych i nadal, tak jak i lat zeszłych przyjął dyrektor Szkoły Sztuk pięknych p. Jan Matejko.

Na *Wydziale handlowym* dla kobiet rozpoczną się wykłady wtedy tylko, gdy się zbierze przynajmniej dwanaście uczennic. Przedmiotami wykładowymi będą: Rachunkowość handlowa wraz z nauką o miarach i wagach; prowadzenie ksiąg handlowych pojedyncze i podwójne wraz z nauką o wekslach i papierach publicznych i korespondencya handlowa. Kurs ten w razie potrzeby będzie rozszerzony i uzupełniony towaroznawstwem, geografią handlową, zarysem ustawy przemysłowej i prawa handlowego i t. p.

Na *Wydziale gospodarczym* wykładać siębędzie systematyczny kurs: „Gospodarstwa domowego kobiecego, poprzedzonego krótkim zarysem gospodarstwa wiejskiego w ogólności“. Nadto p. Karol Lange, członek towarzystwa rolniczego, w godzinach jeszcze stale nie oznaczonych po Nowym Roku, uzupełni swoje przeszłoroczne prelekcye, wykładami z pojedynczych działów gospodarstwa kobiecego. Prof. uniw. Jagiell. Dr. Maks. Nowicki wyłoży: „O Rybactwie krajowem i gospodarstwie rybnem“. Inne przedmioty na tym Wydziale nieobjęte powyższemi prelekcyami, rozpoczną się z początkiem maja, jeśli się zbierze dostateczna liczba słuchaczek.

Równie też rozpoczęcie lekcyj języków obcych: francuskiego, niemieckiego, angielskiego i włoskiego, zależy od zapisu uczennic. Lekcyj francuskiego języka i literatury francuskiej, udziela nauczyciel tegoż języka w uniw. Jagiell. p. W. Erard-Ciechomski.

Lekcyj arytmetyki tak jak i w zeszłych latach udziela adj. obs. astr. Dr. D. Wierzbicki.

Szczegółowe rozkłady godzin wykładowych i drukowane programy podają bliższe objaśnienia i warunki zapisów.

**W Akademii umiejętności** w Krakowie dnia 29. października odbyło się posiedzenie „Komisyi historyi sztuki“, na którem przewodniczący p. Wł. Łuszczkiewicz zdawał sprawę z przedsięwziętej z polecenia komisyi w czasie feryj wycieczki naukowej do ruin zamku Ostrogskiego, Siedziba ta niegdyś jednego z najmożniejszych rodów ua Rusi, sterczy dziś kilkoma zaledwie szczątkami budowli, z których atoli poznać jeszcze można dawną siłę i wspaniałość warownej rezydencyi. Obok reszt części mieszkalnej, oraz jednej pozostałej olbrzymiej baszty, na największą uwagę zasługuje cerkiew zamkowa ceglana, datująca wedle zachowanego napisu z r. 1521, a łącząca układ bizantyński z formami i zewnętrznemi cechami gotyki, splecionemi harmonijnie, nadto ze szczegółami renesansowemi. W ornamentacyi możnaby dopatrzeć się ręki majstrów krakowskich, owioniętych wpływem artystów włoskich. Jest to zatem jeden z najdalej na wschód posuniętych śladów budownictwa polskiego, który w zestawieniu z innymi podobnymi pomnikami, jakich niebrak na Rusi, świadczy wymownie o dawnych, a doniosłych prądach oświaty europejskiej i o ścisłych niegdyś stosunkach Rusi z Zachodem. Niestety stan szczątków zamku jest najsmutniejszy, opieka nad niemi żadna. Sypiące się gruzy i zwieszone groźnie odłamy sklepień nie dozwoliły prelegentowi nawet dokładnych i szczegółowych zdejmować pomiarów. Poprzestać więc musiał na zrobieniu rysunków, po części w przybliżeniu rozmiary podających, tudzież na kilku nabytych na miejscu fotografiach, które zdjęto przed 3-ma laty. Dziś już znaczne od obecnego stanu ruiny, przedstawiają różnice. Za lat kilka może jedynem świadectwem przeszłej świetności Otroga, będą już tylko tablice p. Łuszczkiewicza, które zdaniem komisyi, koniecznie publikować należy.

Następnie przewodniczący przedłożył nadesłane Akademii 3 pierwsze zeszyty wydawnictwa „Zabytki sztuki w Polsce“ mieszczące architektoniczne zdjęcia i plany kościołów i cerkwi wschodniej Galicyi, dokonane przez uczniów politechniki lwowskiej pod kierunkiem prof. Zacharjewicza. Komisya jednogłośnie uchwaliła nietylko piśmiennie przesłać wyrazy uznania, ale poprzeć gorąco wniesione przez wydawców podanie do zarządu Akademii o subwencyonowanie dalszego ciągu dzieła.

Wreszcie przewodniczący zawiadomił o nadeszłem do Akademii zapytaniu Namiestnictwa o uwagi nad projektem rządowym reorganizacyi urzędów konserwatorskich w Galicyi, a obecni, zgodnie domagali się, aby dla omówienia tyle ważnego przedmiotu zostało w najbliższym czasie zwołanem nadzwyczajne posiedzenie komisyi historyi sztuki, która wydaje się wskazaną, aby objawić zarządowi Akademii do uwzględnienia w żądanej odpowiedzi zdania i życzenia w tej sprawie powag fachowych i kół kompetentnych.

*Chwila.*

**O J. I. Kraszewskim** donoszą z Rzymu, iż uwolnienie jego przez cesarza Wilhelma, nastąpiło głównie wskutek usilnych starań księżnej Ludomiły z Hołyńskich Falconieri, która oprócz petycyi, podanej w Wenecyi ks. Fryderykowi Leopoldowi, udawała się także do królowej Małgorzaty, błagając ją o skłonienie księżnej następczyni niemieckiej do przyczynienia się za chorym pisarzem polskim. Wielorakie te kroki pomyślny tedy odniosły skutek, a Kraszewski w Magdeburgu otrzymał wiadomość o swojem uwolnieniu za złożeniem kaucyi, wynoszącej 20.000 marek. Wyruszył on do Włoch, dla poratowania srodze zwątlonego zdrowia. Ostatnie dzieło swe historyczne, obecnie się drukujące, przypisał w dowód wdzięczności księżnej Falconieri.

Wszystko każe się spodziewać, że tymczasowa wolność, udzielona Kraszewkiemu aż do 15. maja, przedłużoną potem będzie, bo mu zaiste przyjaciół tutaj nie zabraknie. Tymczasem zaś Nestor polskiego piśmiennictwa dozna serdecznego przyjęcia od włoskiego dworu, którego jest dygnitarzem, i który tak gorąco orędował za nim, oraz od tutejszego literackiego i uczonego świata.

Pod datą 5. listop. pisze z Magdeburga czcigodny więzień do *Kurjera warszawskiego* między innemi co następuje:

„Kaucję pieniężną złożyłem w dniu 27. października, a że sprawa ta wymaga załatwienia wielu formalności, tak w Lipsku, jak i tu na miejscu, więc też do dziś, dnia 5go listopada, w położeniu mojem nie zaszła żadna zmiana. Nie wyjechałem jeszcze i dotąd w fortecy czekam na papiery. Oto szczera i zupełna prawda, bez żadnych upiększeń. Nie mogę jeszcze oznaczyć terminu, kiedy się moje oczekiwania zamienią w rzeczywistość“.

---

## Targ zbożowy.

**Lwów dnia 14. Listopada 1885.**

Pomimo wyższych notowań na giełdach zagranicznych i w Szwajcaryi na wszelkie gatunki zboża, u nas w kraju, nietylko, że notowania te nieoddziałały na polepszenie cen pszenicy i żyta, lecz nawet musimy zaznaczyć tych ostatnich zniżkę.

Młyny tutejsze zachowują się bardzo biernie, kupując tylko na pokrycie potrzeby tygodniowej. Wyjątek jednak stanowią młyny w Morawii, które za bardzo piękne, ale rzadko się u nas trafiające gatunki płacą do 50 ct. na 100 killo, wyżej naszych notowań. Dobry odbyt przy wysokich cenach, znajduje groch, popyt zaś za wyką, owsem, bobikiem i rzepakiem, jest dość znaczny i artykuły te znajdują chętnego kupca, po bieżących niskich cenach.

Chmiel jest bez popytu, płacą jednak za wysokie gatunki po 20 złr. za 56 kilo na miejscową konsumcyę. Targi zagraniczne tak są przepełnione chmielem, że agenci eksportowi, którzy w bardzo małych ilościach zateckie chmiele pierwszej jakości zakupują, wyzyskują tę okoliczność i płacą od 15 do 35 rzadko 40 złr. za 50 kilo.

Dziś notujemy za 100 Kilogr. loco Lwów.

| | | | |
|---|---|---|---|
| Pszenica gotowa | 6 | do | 7·15 |
| Żyto gotowe | 5·25 | „ | 5·65 |
| Owies | 5·25 | „ | 5·50 |
| Jęczmień | 5·25 | „ | 7·— |
| Rzepak lepszy popyt | 9·50 | „ | 10.25 |
| Groch „Victoria“ poszukiwany | 6·— | „ | 8·70 |
| Wyka | 4·50 | „ | 5·50 |
| Bobik | —·— | „ | —·— |
| Hreczka | 6. | do | 6·25 |
| Kukurudza | —·— | „ | —·— |
| Chmiel za 56 kilo | od złr. 5 | do | 23 |
| Koniczyna czerwona | 30·— | „ | 45·— |
| „ biała | —·— | „ | 45·— |
| „ szwedzka bez odbiorcy | —·— | „ | —·— |
| Spirytus za 10.000 lt. prct zł. | —·— | „ | —·— |

# HANDEL
# ANDRZEJA LANGNERA
**we Lwowie,**
**Rynek L. 9, (arcybiskupia kamienica),**
poleca
## WYBORNĄ HERBATĘ
w odzielnym lokalu trzymam tylko w najlepszych gatunkach sprowadzoną wprost przez najznakomitsze firmy, do tej polecam

*MASŁO ŚMIETANKOWE*

**codziennie świeże.**

Również otrzymać można w moim handlu **mąkę** z najlepszych parowych młynów, jakoteż **krupy, kukurudziankę,** dobry **bulion** dworski ze zwierzyny, dobre zdrowe **wina** oryginalne węgierskie, austryackie i **cognac** kuracyjny. (14) 1—3

---

## GŁOWNY SKŁAD NASION
# TEOFILA ŁUCKIEGO
**we Lwowie**
**Przeniesiony został ze Lwowa**
**do własnego zakładu Produkcyi Nasion do MEŁNY,**
poczta: **Strzeliska nowe,**

zkąd wszelkie zlecenia uskutecznia i rozseła po cenach znacznie niższych z powodu mniejszych kosztów administracyi.

Wszelkie w zakres handlu tego wchodzące artykuły utrzymuję tak samo jak poprzednio we Lwowie.

Adresować uprasza: **Do pierwszej krajowej produkcyi i głównego składu nasion TFOFILA ŁUCKIEGO w Mełnie, poczta: Strzeliska nowe.**

Najnowszy Cennik zawierający: Wszelkie nasiona, Pflance, Haarlemskie cebulki kwiatowe, Bukiety, tudzież Sukna łańcuckie, Bundy, Buty sukienne, Oliwę do maszyn i Smarowidło, **Pasy do maszyn i młocarń** — odseła na żądanie franco.

Polecając usługi swe dalszym łaskawym względom, kreślę wyrazy głębokiego uszanowania,

**Teofil Łucki**

(15, 2—3) Pierwsza krajowa produkcya i główny skład nasion w Mełnie, poczta: Strzeliska nowe.

---

Ces. król. uprzyw.
**Rafinerya Spirytusu**
## FABRYKA RUMU, LIKIERÓW I OCTU
## JULJUSZA MIKOLASCHA
we Lwowie
poleca (6, 2— ∞)
**Spirytus najczyściejszy**
dla fabryk **Likierów** i do fabrykacyi **Perfum,**
dla pp. Aptekarzy i t. d.

*ROSOLISY NAJPRZEDNIEJSZE, WÓDKI MOCNE POLSKIE i t. d.*

**wszystko po cenach umiarkowanych.**

---

# FILIP HAAS i Synowie
**Fabrykanci dywanów i okryć na meble, Liweranci c. k. Dworu we Wiedniu.**
## Wyłączny skład dla Galicyi
**we LWOWIE**
(16, 2—?) **przy ulicy Jagiellońskiej liczba l. a**
polecają w obfitym wyborze:
## Materje na meble
**Dywany, Serwety, Kapy i Kołdry flanelowe, Firanki, Portiery, Pledy i kołderki podróżne, Chodniki dywanowe, jutowe, wełniane i kokosowe**

Tapety papierowe **po stałych cenach fabrycznych.**

---




# J. CIROK
przedtem
## E. ZIEGLER
## RĘKAWICZNIK i BANDAŻYSTA
(12, 2—?) **we Lwowie, Rynek L. 30**
**pod godłem „RYCERZA“**
poleca swój skład własnego wyrobu wszelkiego rodzaju
## TOWAROW RĘKAWICZNICZYCH
mianowicie:

wszelkie rodzaje damskich i męskich rękawiczek we wszystkich najnowszych barwach, amerykańskie jelonkowe pantalony, skóry łosiowe i jelonkowe do pokrycia łóżek, poduszki, torby, czapki mundurowe i cywilne, szelki, krawatki, szaliki, bandaże płócienne i elastyczne, pończochy gumielastyczne, oraz rozmaite wyroby skórkowe

**po stałych i umiarkowanych cenach.**

**Zamówienia z prowincyi uskuteczniają się odwrotną pocztą.**

Magazyny: Rynek l. 30, i ulica Halicka l. 6.

Magazyny: Rynek l. 30, i ulica Halicka l. 6.

---

## WYPŁACAMY
**przed terminem płatniczym wylosowane**

| | | | |
|---|---|---|---|
| 4% **Listy zast** Tw. kr. | 100.— | zł. | bieżący kupon osob. |
| 5% „ „ „ „ | 100.15 | „ | |
| 5% „ „ Ban. hip. | 100.10 | „ | |
| 5% „ „ B. hip. pr. | 100.10 | „ | |
| 6% „ „ Ban. hip. | 100.30 | „ | |
| **Obligacye indemnizac.** | 105.— | „ | |

## Sokal i Lilien
**Dom bankowy i kantor wymiany**
we 8, 2—?
**Lwowie.**

---

**W Realności pod liczbą 92 i 94 ulica Łyczakowska** — jest do wynajęcia **zaraz** jeden osobny obszerny pokój, — jeden pokój zaopatrzony angielską kuchenką, tudzież piwnica.

**Od 1. Grudnia 1885.**

zaś, jeden a względnie dwa obszerne pokoje z kuchnią i komórką, tudzież dwa osobne pokoje, oba w angielskie kuchenki zaopatrzone.

Do któregokolwiek z tych mieszkań można donająć: piwnicę, osobną komórkę, stajenkę i wozownie, a przy rocznej ugodzie i duży ogród warzywny i owocowy.

Bliższa wiadomość w rynku pod liczbą 40. na 2. piątrze, — rano do 9. wieczór do 7.

---

**Fabryka i skład broni**
# ALFREDA DZIKOWSKIEGO
**we Lwowie, ulica Karola Ludwika L. I.**
poleca po cenach **najumiarkowańszych:**
## największy wybór rewolwerów i broni myśliwskiej,
**500 dubeltówek systemu Lancaster** z najcelniejszych fabryk świata znajduje się na składzie.

Skład fabryczny IGLICÓWEK systemu *Teschnera* oraz **LANCASTRÓWEK „DIANA“** wyrobu Henri Piepera w Liege.

Największy skład **patronów** do wszystkich dotąd istniejących systemów i kalibrów. — Cenniki ilustrowane wyseła się na żądanie. (1, 3— ∞)

---

**Zimne i gorące**
## ŚNIADANIA
oraz 17 1—?
**wyborne zawsze świeże**

**Piwo pilzneńskie** litra 34 ct., flaszka 17 ct. **Piwo lwowskie marcowe** litra 20 ct., flaszka 10 ct. **Piwo bawarskie Culmbach. Porter angielski, Wina** i t. p. poleca

**HANDEL DELIKATESÓW**
## ST. WOJCIECHOWSKIEGO.
**Lwów, ulica Chorążczyzna.**

---

## SKŁAD MEBLI
**obficie zaopatrzony we wszelkiego rodzaju wyroby własne**
podług (4, 2— ∞)
**wzorów francuzkich i wiedeńskich**
poleca
**Wiktor Świster**
stolarz, róg ulicy Tetraln[illegible]

---

## Fabryka wyrobow ceramicznych
(11, 1—3) **w Glińsku — poczta Żółkiew,**
poleca swoje wyroby a mianowicie:



**Piece kaflowe**
**rury do drenu**
jako też:
**dachówki**
**glinę ogniotrwałą**

*Zamówienia przyjmuje* **ARNOLD WERNER we Lwowie.**

---

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Stefan Wysocki.** Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9
Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.